

Kim Lawrence

Moja siostra bliźniaczka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Wierzycie w miłość od pierwszego wejrzenia?

To zadane z nienacka rozmarzonym głosem pytanie przerwało trwającą już dość długo dyskusję na temat sposobów przeciwdziałania zbliżającej się epidemii grypy.

Kobiety zebrane wokół biurka doktor Phoebe Miller popatrzyły na siebie z lekkim rozbawieniem.

- Domyślam się, Sally, że przynajmniej ty nie masz w tym względzie żadnych wątpliwości - zauważyła z przekąsem Fran Green z miejscowego wydziału zdrowia, wzbudzając wesołość pozostałych uczestniczek narady.

Sally, młodziutka rejestratorka, która niedawno podjęła pracę w przychodni, z ociąganiem oderwała wzrok od pierścionka z brylantem, lśniącego na jej palcu.

- A co? - spytała zaczepnie, oblewając się rumieńcem. - Może to moja wina, że wszystkie tu jesteście tak obrzydliwie cyniczne, że... - Pomna uwagi, jaką zwróciła jej niedawno kierowniczka lecznicy, Ellen Patterson, przerwała w pół słowa.

Sally była zdania, że zanim owa wysoka, postawna blondynka kierująca przychodnią w Hayfield nie wróciła z urlopu, wszystkim pracowało się o całe niebo przyjemniej. Jej bezpośredni styl bycia nikomu dotąd nie przeszkadzał. Tymczasem szefowa, ledwie ją zobaczyła, stwierdziła, że nie okazuje należytego szacunku lekarzom i pozostałym współpracownikom.

Przełożona pielęgniarek, Grace Winston, zerknęła na zegarek i podniosła się z krzesła.

- Masz rację, Sally - powiedziała, kładąc dziewczynie dłoń na ramieniu. - Jesteśmy podstarzałymi, zgryźliwymi babami i zazdrościmy tobie i Marty'emu jak diabli. Nie przejmuj się nami i staraj się jak najdłużej nie zmieniać.

Sięgnęła po leżące na talerzyku ostatnie oblane czekoladą ciasteczko i schrupała je ze smakiem.

- Chodź, Kate - zwróciła się tym razem do młodziutkiej praktykantki. - Pacjenci czekają.

- Macie wielu chętnych na szczepienia przeciw grypie? - zapytała Fran, wkładając do torby plik dokumentów.

- Tak. I stale zgłaszają się nowi.

- A ja wierzę.

Słowa wypowiedziane cichym głosem przez ciemnowłosą, pochyloną nad biurkiem lekarzkę wzbudziły ogólną ciekawość. Mimo to doktor Phoebe Miller nie okazała zmieszania. Już dawno nauczyła się skrywać emocje. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, czy kiedykolwiek była równie ufna i pełna młodzieńczych ideałów jak Sally.

Nie, Phoebe zawsze twardo stąpała po ziemi. Przecież od wczesnego dzieciństwa musiała myśleć za siebie i za swą lekko zwariowaną siostrę bliźniaczkę.

Czasem tylko, kiedy przed podjęciem którejś tam z kolei decyzji jak zwykle dzieliła włos na czworo, żałowała, że nie stać jej na odrobinę fantazji i zastanawiała się, czy ta przekłeta przezorność jest cechą wrodzoną, czy też ukształtowała się pod wpływem okoliczności.

- W co?

Lekarka odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów.

- Wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia.

Grace, która właśnie zbierała się do wyjścia, z wrażenia ponownie opadła na krzesło całym swym imponującym ciężarem.

- Powtórz to jeszcze raz, bo chyba cię źle zrozumiałam.

- Powiedziałam, że wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia - oznajmiła Phoebe, tym razem tak głośno, że słyszać ją pewnie było na końcu korytarza.

Nie mogła przecież zaprzeczyć istnieniu takiej miłości, skoro była naocznym świadkiem jej narodzin. Jeszcze teraz miała świeżo w pamięci chwilę, kiedy przedstawiała siostrę studentowi medycyny, z którym przez trzy lata wynajmowała na spółkę mieszkanie. Czyż natychmiast nie stało się jasne, że są po prostu stworzeni dla siebie? Wystarczyło jedno spojrzenie, by chłopak kompletnie stracił dla jej siostry głowę.

A Penny nawet nie próbowała ukrywać, że poczuła dokładnie to samo. Zawsze przecież wyznawała zasadę, że życie jest zbyt krótkie, by odmawiać sobie tego, czego naprawdę się pragnie. Czy to nie straszne, że właśnie w jej przypadku słowa te okazały się przerażająco prawdziwe?

Tamtego pamiętnego popołudnia Penny i Connor byli tak zajęci sobą, że nawet nie zauważyli, kiedy, podając jakąś głupią wymówkę, Phoebe wyszła z mieszkania. Nie domyślali się, że przesiadawszy w kinie trzy kolejne seanse, nie miała pojęcia, o czym był film, bo całkiem inny problem zaprzętał jej myśli.

Zazdrość nigdy nie jest przyjemnym uczuciem, a kiedy w dodatku dotyczy rodzonej siostry, życie zamienia się w torturę.

- Pani?

Szczerze zdziwienie Sally wyrwało Phoebe z zadumy. Widać jest ostatnią osobą, od której zakochana dziewczyna spodziewała się zrozumienia. Rozejrzawszy się wokół, zauważyła, że wszystkie zebrane w gabinecie kobiety są kompletnie zaskoczone jej niecodziennym wyznaniem.

- Czyżby przemawiało przez ciebie osobiste doświadczenie? - Grace nawet nie próbowała poskromić ciekawości.

Osobiste?

Phoebe zaśmiała się w duchu z goryczą. W jej przypadku całe trzy lata nie wystarczyły, by zdała sobie sprawę ze stanu

własnych uczuć. Dopiero widok rozkochanych oczu siostry uzmysłowił jej, że obdarzyły miłością tego samego mężczyznę.

Lekki rumieniec, jaki pojawił się na zazwyczaj bladej twarzy lekarki, wystarczył Grace za odpowiedź.

- Ale z ciebie cicha woda... - Roześmiała się życzliwie. - Kim jest ów szczęśliwy wybranek? Może go znamy?

Nieprzeparta ciekawość malująca się w oczach koleżanek pozbawiła Phoebe złudzeń, że zdoła wymigać się od wyjaśnień.

Mimo że już od ponad miesiąca pracowała w Hayfield, dotąd udawało się jej unikać zwierzeń. Ale koleżanki chyba całkiem opacznie zrozumiały jej tajemniczość. Podejrzewały zapewne, że próbuje przed nimi coś ukryć, podczas gdy Phoebe, niestety, nie miała absolutnie nic do ukrycia. Jej życie wolne było od intymnych przeżyć.

- Nie mówiłam o sobie - oznajmiła w końcu. - Sama jestem dość ślamazarna w kwestiach miłości. To moja siostra zakochała się od pierwszego wejrzenia.

Poczuła, że powoli odzyskuje grunt pod nogami.

- Z wzajemnością?

- A jakże!

Kiedy po owych pamiętnych trzech seansach wreszcie wróciła do domu, Penny na szczęście pojechała już do siebie. Wkrótce potem, nieświadom obecności współlokatorki, Connor wyszedł z sypialni z włosami w takim nieładzie, że natychmiast nabrała pewności, że dopiero co wstał z łóżka.

Nie musiała wysilać wyobraźni, by domyślić się, co wydarzyło się w czasie jej nieobecności. Targana zazdrością, do rana nie zmrużyła oka, a przy pierwszej nadarżającej się okazji zmieniła mieszkanie.

- Jakie to piękne - rzekła Sally z rozmarzeniem. - I co? Wzięli ślub?

- Tej małej wydaje się chyba, że małżeństwo jest gwarancją szczęścia - zauważyła nie bez złośliwości Fran, której dopiero niedawno udało się uzyskać rozwód. - Sama nie wiem, czy się śmiać, czy płakać!

- Tak, pobrali się. - Phoebe uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Widzicie! - triumfowała rejestratorka. - I na pewno byli bardzo szczęśliwi. Prawda, doktor Miller?

- Owszem, tylko potem Penny umarła. W gabinecie zaległa przejmująca cisza.

- Mój Boże, Phoebe, tak mi przykro... - odezwała się Grace po dłuższej chwili. - Nie chciałam...

- Skąd miałaś wiedzieć? - Phoebe wzruszyła ramionami i podniosła się z miejsca. - Poza tym, czas leczy rany - dodała, sięgając po szary żakiet wiszący na oparciu krzesła. - Wybaczcie, ale muszę wracać do pacjentów, bo Ellen znowu zacznie narzekać, że się obijam.

Mimo że w ciągu tych kilku tygodni spędzonych w Hayfield Phoebe pracowała z największym poświęceniem, kierowniczka przychodni pałała do niej jawną niechęcią i korzystała z każdej nadarzającej się okazji, by przywołać ją do porządku.

- Coś mi się wydaje, że nasza Ellen zwyczajnie obawia się konkurencji - zauważyła Sally, kierując się do wyjścia. - Może boi się, że doktor Miller zawróci w głowie szefowi. Oj, przepraszam - dodała szybko, zatykając dłonią usta. - Tak mi się tylko wymysknęło.

- Wiecie co? - zawołała Fran, ledwie Sally zniknęła za drzwiami. - Ona chyba ma rację.

Phoebe udała, że nie dostrzega zaciekawionych spojrzeń szacujących jej smukłą sylwetkę, gęstą grzywę kasztanowych, lśniących włosów, nieskazitelnie gładką cerę i wydane, nader ponętne usta.

- Panna Patterson świetnie kieruje lecznicą - zauważyła, starając się odwrócić uwagę koleżanek od własnej osoby.

- Ale jest przy tym okropną jędzą - stwierdziła Grace ze śmiechem.

Mimo że Phoebe całkowicie podzielała tę opinię, powstrzymała się od komentarza.

- A do tego zamierza wyjść za szefa - odezwała się praktykantka.

- Kto ci nagadał takich bzdur? - Pielęgniarka aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Sama Ellen Patterson - broniła się Kate. - No, może nie użyła dokładnie takich słów, ale odniosłam wrażenie, że oboje z doktorem Carlyle'em...

Phoebe wyjęła z szuflady plik czystych kopert i wrzuciła go do torby. Wiedziała, że musi zachowywać się tak, jakby temat rozmowy właściwie jej nie dotyczył. Co zresztą nie było szczególnie dalekie od prawdy, bo czy po tylu latach mogła mieć żal do Connora o to, że w końcu pragnie założyć rodzinę? Tyle tylko, że jego obecna wybranka zupełnie nie przypadła jej do gustu.

- Nie wątpię, że Ellen śni o nim po nocach, ale... - dodała Fran i zachichotała znacząco.

- Przecież wyjechali razem na urlop, prawda? - Młodziutka praktykantka upierała się przy swoim.

- I tak, i nie. - Grace chyba nie do końca podzielała przekonanie dziewczyny. - Słyszałam, że to Ellen Patterson wynajęła z przyjaciółmi dom w Alpach i zostało im jedno wolne miejsce, więc namówiła Connora, żeby się z nimi wybrał. Musiała być wściekła, kiedy rozwalił sobie kolano. Zerwane więzadło raczej nie sprzyja romansom, nie?

- Całe szczęście, że od razu się nim tam zajęli - zauważyła Fran. - O ile mi wiadomo, to w tych górskich kurortach mają zwyczaj odsyłać pacjentów na leczenie do domu, a przecież

czasami każdy dzień jest na wagę złota. Podobno tamtejszy chirurg studiował razem z doktorem Carlyle'em, więc nie odprawił go z kwitkiem. Ellen musiała być niepokieszona, kiedy Connor nie pozwolił jej zostać ze sobą w charakterze nowej Florence Nightingale.

- Wolałabym nie uchodzić za adwokata diabła, ale nie zapominajcie, że wypadek miał miejsce dopiero pod koniec urlopu. - Grace popatrzyła na koleżanki znacząco. - Z czego wynika, że Ellen miała całe dziesięć dni, żeby...

- Żeby co? - spytała Kate z miną niewiniątka.

- Rusz głową, dziewczyno.

Na myśl o tym, co Grace próbowała im zasugerować, Phoebe poczuła wielce nieprzyjemne ściskanie w żołądku.

- Mogę panu w czymś pomóc? - Sally podniosła się na widok przybysza zmierzającego w kierunku rejestracji.

Mimo że kochała Marty'ego do szaleństwa, potrafiła docenić zalety innych mężczyzn, a widok nieznanego zrobił na niej wręcz piorunujące wrażenie. Mężczyzna miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupłą, wysportowaną sylwetkę, wąskie biodra, szerokie ramiona, słowem spełniał wszystkie wymogi ideału męskiej urody. Mimo że teraz utykał.

- A kim pani jest? - zapytał głębokim, aksamitnym głosem, od którego dziewczynie przeszły ciarki po plecach.

- Mam na imię Sally. Sally Winter.

- Idę zobaczyć się z doktorem Edwardsem.

- A był pan umówiony?

Kiedy pokręcił głową, jego gęste, naturalnie pofalowane włosy rozblęły kolorem dojrzałej pszenicy, wzbudzając w rejestratorce gwałtowny przypływ zazdrości. Ileż to musiała się napracować, żeby nadać własnej fryzurze nieco blasku i puszystości!

- Przykro mi, ale nie mamy już wolnych numerków - oznajmiła. - Zapiszę pana na jutro rano. Przepraszam, ale naprawdę nie może pan wejść! - krzyknęła, widząc, że nieznajomy, opierając się na kulach, sunie wprost do drzwi przeznaczonych dla personelu.

Na dźwięk jej podniesionego głosu Will Edwards wyskoczył na korytarz z kanapką w ręku.

- Mordują tu kogoś, czy co?

Dostrzegłszy wspartego na kulach mężczyznę, o mało nie zakrztusił się przetykanym kęsem.

- Wielkie nieba? To ty?

Intruz uśmiechnął się szeroko, odsłaniając równy rząd olśniewająco białych zębów.

- Przepraszam, doktorze - rzekła Sally z przestraczem. - Mówiłam temu panu, żeby nie wchodził, ale potraktował mnie jak powietrze.

- Nie przejmuj się. To całkiem w jego stylu - Will uspokoił dziewczynę. - Rozumiem, że przywiodła cię tutaj troska, że sam sobie nie poradzę. - Skierował spojrzenie na nieznajomego. - Jestem szczerze wzruszony, doktorze Carlyle.

- To znaczy...

- Tak, Sally, to znaczy, że masz przed sobą szefa naszej placówki - wyjaśnił, nie spuszczając wzroku z przybysza. - Wiesz, Con, że mimo pięknej opalenizny wyglądasz po prostu okropnie?

- Nie ma to jak dobre słowo na powitanie. - Lot z Genewy faktycznie kompletnie go wykończył. - Nie wytrzymam z tym cholerstwem - dodał, zahaczając jedną z kul o dekoracyjną roślinę ustawioną w donicy na podłodze.

Sally rzuciła się do przodu, by usunąć przeszkodę spod nóg lekarza. Że też nikt jej nie uprzedził, że w obecności doktora Carlyle'a nawet Robert Redford w czasach swej największej świetności nie zwróciłby niczyjej uwagi.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem... Sally. Mówiłaś, że tak właśnie masz na imię, prawda?

- Nic nie szkodzi. Ja tylko...

- W porządku, moje dziecko. Możesz wracać do pracy - wtrącił Will. - Mamy z doktorem Carlyle'em sporo spraw do omówienia. - Zmierzył przyjaciela ponurym wzrokiem - Na przykład, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie leżysz teraz w szpitalu w Szwajcarii?

- Bo prawdę mówiąc, zanudziłbym się tam na śmierć.

- Akurat. Po prostu wydaje ci się, że jesteś niezastąpiony.

- I to się nazywa wdzięczność! Jak człowiek chce trochę pomóc, to od razu wmawiają mu, że jest szalony

- odparł Connor, spoglądając z niechęcią na gipsowy opatrunek usztywniający mu nogę od kostki po udo.

- Pomóc! Dobrze sobie. Gołym okiem widać, że to ty wymagasz pomocy. A tak w ogóle, to muszę stwierdzić, że coraz bardziej mnie niepokoisz. Sam lubię pracować, ale w twoim przypadku to już autentyczna obsesja. - Will był wyraźnie wzburzony. - Zresztą sam powiedz. Przez ile lat obywałeś się bez urlopu? Cztery, pięć? W tym roku pewnie też byś się nigdzie nie wybrał, gdybym osobiście nie kupił ci biletu i nie wsadził do samolotu!

- Mam rozumieć - Connor postukał palcem w gips

- że i za to powinienem ci podziękować?

- Nie musiałeś się aż tak popisywać przed piękną Ellen.

- A propos, zastałem ją dzisiaj w pracy?

- Jak najbardziej. O ile wiem, utknęła na górze z przedstawicielem jakiejś firmy handlowej. Mam ją zawołać?

- Nie, nie ma sensu jej teraz przeszkadzać. - Najwyraźniej perspektywa rychłego ujrzenia panny Patterson nie napawała doktora Carlyle'a zbytnim entuzjazmem.

Początkowo łączyła ich zwykła, niezobowiązująca znajomość, ale wkrótce stało się jasne, że ta kobieta liczy na

zdecydowanie poważniejszy związek. Nawet Connorowi trudno było uwierzyć, że ich częste spotkania w nader kameralnych warunkach są jedynie dziełem przypadku.

- I jak? Czy górskie stoki sprzyjają miłości?

- Przepraszam, ale czy mógłbyś nie wtykać nosa w nie swoje sprawy?

- Mógłbym, ale jako przyjaciel chciałbym usłyszeć, kiedy wreszcie pomyślisz o ułożeniu sobie życia. - Will bardzo dobrze wiedział, że w kwestiach osobistych Connor bywa drażliwy i uparty.

Tym razem jednak zdołał utrzymać nerwy na wodzy.

- Nie każdy ma tyle szczęścia co ty - odparł. Will, któremu udało się założyć udaną rodzinę, wyraźnie nie podzielał sceptycyzmu kolegi dotyczącego instytucji małżeństwa.

- Pozwolisz, że usiądę? - zapytał Connor i podskoczył nieporadnie na zdrowej nodze.

- Oczywiście. Przepraszam, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Pewnie przyjechałeś tu prosto z lotniska? Że też nikt nie powiedział ci dotąd, że jesteś kompletnym durniem! Pewnie dostałbyś furii, gdyby którykolwiek z twoich pacjentów zachował się w ten sposób! - Otworzył szeroko drzwi do gabinetu i podsunął przyjacielowi fotel na kółkach.

- Oprócz tej dziewczyny przyjęliście jeszcze kogoś nowego? - indagował Connor.

- Jedną lekarkę na zastępstwo. Ale ostrzegam, że nie dam ci powiedzieć na nią złego słowa.

- Jest aż tak dobra? - zdziwił się Connor.

- Więcej niż dobra. Mam nadzieję, że zgodzi się zostać u nas na stałe. W wydziale zdrowia wciąż nalegają, żebyśmy wzięli jeszcze kogoś do spółki.

Rzeczywiście, w ostatnich latach przybyło im sporo nowych pacjentów i mimo że, jako współwłaściciele lecznicy,

niedawno zdecydowali się zatrudnić do pomocy stażystę, obaj zdawali sobie sprawę, że jest to jedynie połowiczne rozwiązanie.

- Oczywiście wyjaśniłem jej, że jesteś głównym udziałowcem, więc ostateczna decyzja należy do ciebie.

- No i co?

- Chyba się nie zdecyduje. Szkoda, bo jest naprawdę świetna. A do tego wszyscy ją polubili. No, prawie wszyscy.

Zanim Connor zdążył poprosić o wyjaśnienie, na twarzy Willa pojawił się szeroki uśmiech.

- O wilku mowa! - skostatował. - Phoebe, moja droga, pozwól tu do nas, żebym mógł przedstawić ci szefa - zawołał w kierunku grupki kobiet, które właśnie pojawiły się na korytarzu.

Nieoczekiwany widok doktora Carlyle'a wywołał spore zamieszanie wśród damskiego personelu lecznicy. Pielęgniarki jedna przez drugą tłoczyły się, żeby go powitać, a Connor niczym automat odpowiadał na ich radosne uwagi, choć właśnie zamarło w nim serce.

Phoebe poczuła, jak nagle drętwieją jej dłonie, a torba wysuwa się z palców na posadzkę. Przenikliwe spojrzenie szafirowych oczu Connora poraziło ją do tego stopnia, że gdyby nie uchwyciła się kurczowo kaloryfera, pewnie nie zdołałaby ustać na nogach.

- Witaj, Con - wyjąkała, kiedy wreszcie zdołała nieco opanować wzburzenie. Zdając sobie sprawę, że wszyscy przyglądają się jej teraz z zaciekawieniem, z nadludzkim wysiłkiem uczyniła kilka kroków w kierunku lekarza i popatrzyła mu w twarz.

Musiała przyznać, że niewiele się zmienił. Może tylko nieco zmeźniała mu sylwetka, a wokół oczu pojawiło się kilka nowych zmarszczek. W sumie jednak był to ten sam Connor Carlyle, jakiego pamiętała sprzed lat.

Nawet nie próbowała się okłamywać. To nie szok wywołany niespodziewanym spotkaniem spowodował taki zamęt w jej duszy. Ileż to razy w ciągu ostatnich czterech lat zastanawiała się, czy potrafiłaby zachować spokój, gdyby przyszło jej ponownie go ujrzeć? Niestety, właśnie się okazało, że dawne rany nie zdążyły się jeszcze zabiżnić.

- Wy się znacie? - zdziwił się Will.

- Można by tak to ująć. Przez trzy lata mieszkaliśmy pod jednym dachem. Jak się miewasz, Phoebe?

Nie mogła nie zauważyć, jak piorunujące wrażenie wywarło na wszystkich wyjaśnienie, jakiego udzielił im Connor. Z największym trudem zdobyła się na uśmiech.

- Nieźle, całkiem nieźle. - Miała nadzieję, że zaraz nie zemdleje, zadając kłam własnym słowom. - Co za spotkanie! Nie mogę uwierzyć własnym oczom - dodała pospiesznie, tym razem zgodnie z prawdą.

- Ani ja - odparł.

Wyraz twarzy Connora zdradzał ponad wszelką wątpliwość, że spotkanie z nią bynajmniej go nie cieszy. I choć Phoebe nigdy nie wyobrażała sobie, że Connor powita ją z otwartymi ramionami, nie spodziewała się dostrzec w jego spojrzeniu aż tak silnego zaniepokojenia.

- Wynajmowaliśmy wspólnie mieszkanie, kiedy jeszcze byliśmy na studiach - poinformowała współpracowników, starając się zaspokoić nieco ich ciekawość.

- To niesamowite, że spotykamy się znowu. Co za dziwny zbieg okoliczności!

- Czyżby? - bąknął Connor bez przekonania.

- Nic się przed tobą nie ukryje. - Pomyślała, że najlepiej zrobi, obracając jego wątpliwości w żart. - Bo prawda, moi drodzy, jest taka, że od lat podążam śladem doktora Carlyle'a. Nigdy nie potrafiłam oprzeć się jego zabójczej urodzie i niespotykanej charyzmie. Mam nadzieję, że mnie zrozumiecie.

Po chwili kobiety zaczęły rozchodzić się do swoich zajęć.

- Dlaczego od razu nie powiedziałaś, że się znacie?

- Will wciąż nie do końca rozumiał zaistniałą sytuację.

- Już dawno straciliśmy ze sobą kontakt - odparła Phoebe z pozorną beztroską i zerknęła na zegarek. - Przepraszam, ale zrobiło się strasznie późno.

- Pewnie myślała, że jej nie rozpoznam.

Phoebe popatrzyła na Connora z niesmakiem. Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że akurat tą uwagą sprawi jej wyjątkową przykrość, podobnie zresztą jak lekceważącym spojrzeniem, jakim ją teraz obrzucił.

- Naprawdę muszę już lecieć! - zawołała, odwracając się na pięcie. Podejrzewała, że Will uzna jej zachowanie za cokolwiek dziwne, ale nie miała sił udawać.

Kiedy wreszcie dopadła samochodu, miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. To wszystko moja wina, myślała. Trzeba było zrezygnować z tej pracy, kiedy tylko dowiedziałam się, kto tu jest szefem. Tyle że w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że podświadomie przez cały czas dążyła do spotkania z Connorem.

Powstrzymując ogarniające ją mdłości, usiadła za kierownicą i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będą musieli się rozmówić, ale w tej chwili pragnęła jedynie jak najszybciej stąd odjechać. Sama wybierze czas i miejsce na taką konfrontację.

Właśnie miała przycisnąć pedał gazu, kiedy ktoś zastukał w dach samochodu. Krzyknęła z przerażenia.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć - uśmiechnął się Will, kiedy opuściła szybę. - Ale czy przypadkiem nie wybierasz się teraz do Roba Marlowa?

- Owszem. - Phoebe odetchnęła z ulgą, słysząc, że Will zatrzymał ją w sprawie służbowej.

Rob był pierwszym pacjentem, jakiego przyjęła po przybyciu do Hayfield. Szybko zorientowała się, że agresja, jaką nieustannie objawiał, wynikała z dręczącego go lęku przed utratą wzroku.

- Staram się go namówić, żeby zaczął ćwiczyć chodzenie z laską, dopóki jeszcze przynajmniej trochę widzi - wyjaśniła Willowi.

Kilka lat wcześniej u Roba stwierdzono barwnikowe zwyrodnienie siatkówki, które przez dłuższy czas ograniczało jedynie jego zdolność widzenia o zmroku i nie przeszkadzało mu w pracy na komputerze. Jednak choroba ostatnio poczyniła znaczne postępy, praktycznie uniemożliwiając młodemu programiście normalne widzenie obwodowe.

- Mam nadzieję, że ci się powiedzie. Pamiętam, że kiedy sam kiedyś zasugerowałem mu laskę, powiedział mi, co o tym myśli, używając dość niewybrednego języka.

- Rob od pewnego czasu spotyka się z psychologiem. Sądzę, że te rozmowy sporo mu dają.

- Pewnie masz rację. Szkoda faceta. Wiesz, że na domiar złego niedawno zostawiła go narzeczona?

- Słyszałam. Pewnie przestraszyła ją perspektywa życia z inwalidą. Na szczęście chłopak powoli dochodzi do siebie. Chyba postanowił się nie poddawać.

- To świetnie - ucieszył się Will. - Ale skoro jedziesz do Marlowa, może będziesz tak dobra i podrzucisz dziś Connora do domu? Mieszka jakieś dwa kilometry dalej. Sam bym go podwiózł, ale akurat mam dyżur, a ten wariat przyjechał tu prosto z lotniska. O, właśnie idzie...

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem Phoebe patrzyła na zbliżającego się w ich kierunku wysokiego mężczyznę. Mimo swego obecnego kalectwa Connor zachował wyjątkową elegancję ruchów, która niegdyś działała na nią tak zniewalająco.

Co gorsza, najwyraźniej nic się nie zmieniło. Mimo że minęły cztery lata od ich ostatniego pamiętnego spotkania, sam jego widok przyprawił ją znów o drżenie kolan.

- Oczywiście. Nie ma sprawy - powiedziała, mimo że najchętniej odjechałaby natychmiast w siną dal.

Nie zważając na głośne protesty przyjaciela, Will pomógł mu zająć miejsce w samochodzie. Kiedy ustawiwszy w odpowiednim położeniu fotel, ostrożnie ułożył mu nogę na podłodze, Connor, który chyba po raz pierwszy w życiu znalazł się w roli pacjenta, dał w końcu upust zniecierpliwieniu.

- Do jasnej cholery, potrafię jeszcze zadbać o siebie! - ryknął na cały głos.

- Przecież on tylko próbuje ci pomóc - rzekła Phoebe, zapalając silnik.

- Zachowuje się jak stara, rozhisteryzowana baba.

- Nieprawda. Jest po prostu wspaniałym, życzliwym i oddanym swojej pracy człowiekiem. Chciałabym, żeby wszyscy lekarze pierwszego kontaktu zachowywali się właśnie w ten sposób. A propos, nie wiedziałam, że zainteresowałaś się medycyną rodzinną?

Kiedy widzieli się po raz ostatni, Connor robił specjalizację z neurologii w jednym z najlepszych szpitali w kraju. Phoebe nigdy nie podejrzewała, że z takim przygotowaniem zdecyduje się na pracę w podmiejskim ośrodku zdrowia.

- Will mnie zachęcił, żebym spróbował własnych sił w tej dziedzinie. I chociaż dobrze wiem, że łagodnością charakteru nigdy nie zdołam mu dorównać, niektórzy twierdzą, że jestem całkiem dobry.

Co do tego akurat nie musiał jej przekonywać. Wszyscy pacjenci, których Phoebe przejęła po Connorze w ramach zastępstwa, wyrażali się o nim z największym uznaniem.

- Jak we wszystkim, do czego się weźmiesz - zauważyła z westchnieniem, dodając w myślach, że nawet w całowaniu nie ma sobie równych. Na samo wspomnienie jego cudownych pocałunków zawsze czuła, że ogarnia ją słabość.

- Mam nadzieję, że nie masz na myśli mojego małżeństwa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Phoebe poczuła ściskanie w żołądku. Jedno krótkie zdanie wystarczyło, żeby dręczące ją od lat poczucie winy znowu dało o sobie znać z całą mocą.

Wiedziała, że musi zrobić wszystko, by naprawić wyrządzoną Connorowi krzywdę. Tyle że to, co w teorii wydawało się proste, mogło w praktyce okazać się wręcz niewykonalne. Gdyby chodziło o jakąś arytmieję albo o złamaną kończynę, wiedziałyby doskonale, jakie zastosować środki. Ale przecież nikt nie nauczył jej, jak należy leczyć chorującą duszę.

Już sam fakt, że z powodu chwili słabości straciła najlepszego przyjaciela, napawał ją goryczą. Ale świadomość, że to z jej powodu Connor uważa, że nie sprawdził się w małżeństwie, była jeszcze bardziej przykra. Phoebe zrozumiała, że dla wspólnego dobra musi pomóc mu uporać się z wyrzutami sumienia.

- Chyba trochę dramatyzujesz.
- Doprawdy?
- Oczywiście. Jak możesz mówić takie bzdury?
- Bzdury? - Popatrzył na nią z powątpiewaniem.
- Oczywiście. Po tym, co przed chwilą powiedziałeś, sama już nie wiem, czy powinnam się śmiać, czy płakać.
- Pamiętam, że ładnie się śmiejesz.

Phoebe nie odpowiedziała, tylko kurczowo zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Tak mi się tylko przypomniało - dodał jakby od niechcena. - A jeśli chodzi o to, jakim byłem mężem, to uwierz mi, że mam rację - mówił dalej z nieukrywanym sarkazmem. - Zawiodłem na całej linii.

Mimo zażenowania, z jakim słuchała jego pełnego goryczy wyznania, wiedziała, że nie może teraz dać za wygraną. Pewne sprawy należy wyjaśnić do końca.

- Wiem, że myślisz o tamtym... - Zawiesiła głos, szukając odpowiednich słów.

- Wcale nie o tym, czego nie jesteś w stanie wykrztusić.

- Nie sędzę, żeby był to odpowiedni temat do żartów.

- Wcale nie żartuję - odparł ze śmiertelną powagą.

- A ty? - zapytał po chwili, patrząc na nią badawczo.

- Co ja?

- Czy wciąż o tym myślisz?

- A co tu jest do myślenia? - zachnęła się. - Przecież do niczego nie doszło!

- I zdążyłaś już o wszystkim zapomnieć, tak?

- O niczym nie zapomniałam. - Znowu się zachnęła, czując, że oblewa ją fala gorąca. - Ale na wszystko trzeba patrzeć z odpowiedniej perspektywy.

- Oczywiście. - Connor nie zamierzał się sprzeczać.

- Domyślam się, że to właśnie ze względu na ową, jak to nazwałaś, perspektywę postanowiłaś tak nagle wyjechać z kraju.

Mógłbyś darować sobie tę złośliwość!

- Przecież to był tylko pocałunek. Penny na pewno by zrozumiała - rzekła z przekonaniem, choć doskonale wiedziała, że tym razem mija się z prawdą.

- Penny rozumiała więcej, niż ci się wydaje. Phoebe wolała nie pytać, co tym razem miał na myśli.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

- Co za dzień! - Connor przerwał w końcu pełną napięcia ciszę. - Wpadam do pracy, żeby załatwić przynajmniej część papierkowej roboty, i co widzę?

- W ogóle nie powinieneś jeszcze pracować - wtrąciła ze zdenerwowaniem.

- No więc widzę, że ową świetną lekarką, nad którą Will wręcz rozplywa się z zachwyty, jest nie kto inny, jak moja od dawna niewidziana szwagierka.

- Naprawdę tego nie zaplanowałam.

- Szkoda. Bo już miałem nadzieję, że to tęsknota za moją osobą przywiodła cię do nas.

Na chwilę oboje znów popadli w odrętwienie.

- Miałeś pecha z tym kolaniem. - Phoebe uznała, że nadszedł czas, by nadać rozmowie zwykły, przyjacielski charakter. - Słyszałam, że masz zerwane więzadło, tak? To częsta kontuzja wśród narciarzy.

- Do diabła z moim kolaniem! - wybuchnął.

- Con, posłuchaj, ja naprawdę się staram...

- Przepraszam, ale nie pojmuję, o co ci chodzi. Domyślała się, że skłamał. W rzeczywistości doskonale zrozumiał jej słowa.

- Mógłbyś przynajmniej spróbować... - W ostatniej chwili zdołała wyminąć zabląkaną owcę, która nie wiadomo skąd pojawiła się na drodze. - Wiem, że to bolesne...

- Masz na myśli moje kolano?

- To też. - I tym razem Phoebe nie dała się sprowokować. Obawiała się, że jeśli pozwoli się ponieść emocjom, może powiedzieć coś, czego później będzie żałować. - W każdym razie, nie masz się o co martwić. Wyjadę stąd, zanim wydobrzejesz na tyle, żeby wrócić do pracy. Uwierz mi, że kiedy składałam podanie, nie miałam pojęcia, że będę pracować u ciebie.

- Ale w końcu się dowiedziałas. I co?

Sama po wielekroć zadawała sobie to pytanie. Dlaczego od razu nie wyjechała? Dlaczego nie potrafiła oprzeć się pokusie sprawdzenia, jak ułożył sobie życie, poznanie ludzi, z którymi się spotykał? Może nawet gdzieś w głębi jej zbolącej duszy tliła się od dawna nadzieja, że dziwnym zrządzeniem losu znowu go spotka?

- Niegłupie pytanie. - Wzruszyła ramionami.

- Skoro tak, to należy mi się rozsądna odpowiedź.

- I kto tu mówi o rozsądku! - Na krótką chwilę straciła panowanie nad sobą. - Przecież już ci wyjaśniłam - dodała spokojniej - że sądziłam, że zdążę wyjechać z Heyfield, zanim wrócisz. A kiedy Will poprosił, żebym została nieco dłużej, bo miałeś wypadek, po prostu nie mogłam mu odmówić. Oczywiście, patrząc wstecz, można by...

- Pisałem do ciebie - przerwał jej w pół zdania.

Niezwykłe napięcie w jego głosie kazało Phoebe przyjrzeć mu się uważniej. Zauważyła, że nabrzmiałe żyłki na skroniach pulsują mu w przyspieszonym rytmie.

- Wiem - odrzekła, kierując spojrzenie na szosę.

- W takim razie, zdajesz sobie chyba sprawę, że nie chciałem zrywać kontaktów - powiedział, nerwowo przeczesując palcami swoje gęste włosy.

Phoebe nie odezwała się. Czując na sobie jego badawcze spojrzenie, dołożyła wszelkich starań, by nadać twarzy wyraz nieruchomej maski.

- Listy wracały do mnie w nie otwieranych kopertach. A potem wyjechałaś, nie zostawiając nowego adresu.

- Wydawało mi się, że tak będzie łatwiej - odparła.. Jeszcze teraz na wspomnienie walki, jaką musiała ze sobą stoczyć, zanim zdecydowała się odesłać jego listy bez czytania, czuła dławienie w gardle.

- W końcu to ty powiedziałeś, że nie chcesz mnie więcej oglądać - dodała z nutką goryczy. - I możesz mi wierzyć, że doskonale cię rozumiałam.

Nie chciała, by pomyślał, iż próbuje przerzucić na niego odpowiedzialność za to, co się wydarzyło.

- Ty? Mnie? - zdziwił się, po czym przymknął oczy i odetchnął głęboko, jakby starał się opanować gniew. - Mogłabyś zatrzymać samochód?

- Przepraszam, ale nie teraz. I tak jestem spóźniona. Gdyby zgodziła się zahamować, musiałyby pewnie spojrzeć mu w oczy, a tego za wszelką cenę wołała uniknąć.

- To, co wtedy między nami się stało - odezwał się po kilku sekundach - było chwilowym porywem namiętności.

Phoebe trudno było się nie zgodzić z tą diagnozą, tyle że przynajmniej w jej przypadku poryw owej namiętności nie osłabł do dziś.

Wróciła myślami do tamtego popołudnia, zaledwie kilka dni po pogrzebie Penny. Leżała w półmroku zwinięta w kłębek na kanapie i starała się powstrzymać napływające do oczu łzy. Kiedy Connor wszedł do pokoju, poprosiła, żeby nie zapalał górnego światła.

Dlaczego go wtedy pocałowała?!

Powinna była wiedzieć, że dla dwojga przepęlnionych niepojętym bólem ludzi, którzy nie potrafią poradzić sobie z poczuciem pustki spowodowanej utratą najbliższej osoby, nawet najbardziej niewinny pocałunek może okazać się niebezpieczny. Zwłaszcza że sama od lat ukrywała swe prawdziwe uczucia, a do tego wyglądała jak lustrzane odbicie oplakiwanej przez Connora ukochanej żony.

- Przepraszam cię, Con - powiedziała wówczas - ale chyba zaczynam się rozklejać.

- Nie ma sensu dusić tego w sobie. - Przysiadł na oparciu kanapy i popatrzył ze współczuciem na jej obrzmiałą od płaczu twarz. - I nie przepraszaj mnie za własną rozpacz. Doskonale cię rozumiem.

Serdeczność, z jaką się do niej zwrócił, sprawiła, że strumienie łez znowu spłynęły jej po policzkach. Kurczowo zacisnęła palce na skrawku niebieskiej koszulki Connora i otarła nią oczy.

- Przedtem w ogóle nie mogłam płakać. A teraz nie mogę się powstrzymać. A ty?

- Co ja?

- Płakałeś?

Nie zdziwiło jej, że nie odpowiedział. Przecież Connor nie należał do ludzi, którym łatwo przychodzi wyrażanie uczuć. Ale wtedy, mimo panującego wokół półmroku, widziała wyraźnie, że każdy mięsień jego twarzy drży z napięcia.

- Może powinniśmy porozmawiać? - zaproponowała, zapalając stojącą na stoliku lampkę.

- Każde z nas musi uporać się z tym na swój własny sposób.

- To znaczy, że mam się wypchać i pilnować własnego nosa, tak? - Jakimś cudem zdołała się zdobyć na dość swobodny ton.

- Aż tak niegrzecznie bym tego nie ujął.

- Dlaczego? Przecież to całkiem w twoim stylu.

Coś na kształt uśmiechu błakającego się w kącikach ust Connora dodawało jej odwagi.

- Nie chciałbym niepotrzebnie ranić twoich uczuć. Ale...

- Coś mi się wydaje, że to własne uczucia powinieneś mieć teraz przede wszystkim na względzie - parsknęła, ale widząc, że zbytnią obcesowością niewiele wskóra, uniosła do góry ręce w geście kapitulacji. - No dobrze, obiecuję, że nie wspomnę ani słowem o współczuciu.

- Zgoda. - Uścisnął jej dłoń na znak porozumienia.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że jej nie ma - szepnęła i po raz kolejny zanosła się łkaniem.

- Rozumiem.

- Wiem, że rozumiesz. - Spróbowała uśmiechnąć się przez łzy.

Właśnie wtedy Connor tak silnie zacisnął palce na jej dłoni, że aż krzyknęła z bólu.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało - zapewniła, rozcierając rękę. - A tak w ogóle to byłoby o wiele lepiej, gdybym to ja miała ten wypadek. Po mnie przynajmniej nikt by aż tak nie rozpacział - dodała łamiącym się głosem.

To przepełnione goryczą wyznanie sprawiło, że chwycił ją za ramiona i potrząsnął z całą mocą.

- Jeśli jeszcze raz usłyszę, jak mówisz takie bzdury, to... - Głos drżał mu ze wzburzenia. - Przecież wcale tak nie myślisz.

Tu właśnie się mylił. Penny zdecydowanie bardziej zasługiwała na to, by pozostać wśród żywych. Miała męża, który ją kochał, pewnie niedługo zdecydowałiby się na dziecko, a do tego należała do najbardziej utalentowanych ilustratorek książek przyrodniczych na świecie. Miała przed sobą przyszłość. Jednak gwałtowana reakcja Connora kazała Phoebe nie ciągnąć tego tematu. Zamiast tego tylko ze smutkiem pokiwała głową.

Zapanowawszy nad złością, zwolnił uścisk i popatrzył jej w oczy z pobladłą, spiętą bólem twarzą.

- Och, Con - westchnęła, gładząc go po szorstkim od kilkudniowego zarostu policzku. - Myślisz, że to cierpienie kiedyś się skończy?

- Przynajmniej mam taką nadzieję. - Przykrył dłonią jej rękę.

Wtedy, całkiem bezwiednie, Phoebe wspięła się na palce i pocałowała go czule w usta. W owej chwili takie zachowanie wydawało się jej czymś najnaturalniejszym na świecie.

Prawie natychmiast odskoczyli od siebie jak oparzeni. Jednak wciąż znajdowali się na tyle blisko, że Phoebe czuła na policzkach ciepło jego przyspieszonego oddechu. Pomyślała, że koniecznie musi teraz ukryć przed nim wzrok, by nie dostrzegł, że jej ciałem zawładnęło przemożne, fizyczne pożądanie.

Gdyby się domyślił, znienawidziłby ją do końca życia. Byłoby to całkiem zrozumiałe, skoro sama teraz czuła do siebie wstręt.

- Może byśmy się napili herbaty - zaproponowała, próbując zapanować nad sytuacją.

- Herbaty? Chyba żartujesz. Posłuchaj...

Jego dziwnie zmieniony głos wystraszył Phoebe nie na żarty. Czyżby zorientował się, jakie uczucia nią powodują?

- Coś się stało? - zapytała, zanim zdążyła pomyśleć. Jak mogła zadać tak beznadziejnie głupie pytanie mężczyźnie, który dopiero co stracił żonę! Nie zdziwiłaby się, gdyby wpadł we wściekłość.

Tymczasem Connor pochylił głowę i zanim zdążyła pojąć, co się dzieje, teraz to on gorąco ją pocałował. Mimo że i tym razem każde z nich szybko cofnęło się o krok, Phoebe zrozumiała, że stało się coś bardzo niestosownego. Ale mimo że z jednej strony pożądanie, jakie dostrzegła w jego oczach, nappełniło ją lękiem, z drugiej zrozumiała od razu, że nie potrafi mu się oprzeć.

Connor nie odezwał się słowem, tylko nie odrywając oczu od jej drżących ust, ujął w dłonie jej rozpaloną twarz, pochylił głowę i pocałował ją znowu, tym razem z gwałtowną, nieokiełznaną namiętnością. Chociaż Phoebe wielokrotnie zastanawiała się nad smakiem takiego pocałunku, rozkosz, jaką wtedy odczuła, przekraczała granice jej wyobraźni. Miała wrażenie, że płonie, a silny dreszcz raz po raz przeszywa ją od stóp po czubek głowy.

Kiedy Connor powiodł ręką po jej plecach, a potem przytuliwszy do siebie, przywarł do niej całym ciałem, jęknęła przeciągle, jakby chciała dać upust wszystkim skrywanym od tak dawna emocjom.

Pociągnął ją za sobą na kanapę. - Pragnę cię dotykać - szepnął, zanurzwszy twarz w jej gęstych włosach.

Nawet nie próbowała protestować, tylko pełna oczekiwania na rychłe spełnienie, poddawała się jego pieszczotom. Aż nagle, kiedy wydawało się, że już nic nie jest w stanie ich powstrzymać, Connor znieruchomiał.

- Dobry Boże! - krzyknął, jakby nagle przebudził się z koszmarnego snu. - Co my robimy?

Z jękiem zerwał się na równe nogi i cofał się do momentu, gdy uderzył plecami o ścianę. Przez cały czas wpatrywał się w Phoebe przerażonym wzrokiem, a na jego pobladłej twarzy malował się wyraz przerażenia.

- Jesteście do siebie takie podobne, że nie potrafię... Odejdź! Proszę, odejdź i nigdy tu nie wracaj.

Od tamtego dnia minęły cztery lata, w czasie których Phoebe dokładała wszelkich starań, by zapomnieć o owym wydarzeniu. Mimo to, kiedy dziś niespodziewanie ujrzała Connora, uprzytomniła sobie, że w istocie jej wysiłki spęły na niczym.

- Wiesz co? Sądzę, że ta historia ma jednak pewien morał - spróbowała zażartować.

- Tak? A mianowicie jaki?

- Taki, że jeśli ktoś chce uprawiać seks bez zobowiązań, ot tak, dla poprawienia nastroju, to powinien wybrać przygodnie poznanego partnera, żeby niepotrzebnie nie komplikować sobie życia.

- Mam rozumieć, że takich właśnie porad udzielasz pacjentom?

- Że też musisz wszystko brać tak dosłownie - obruszyła się. - Zresztą sam dobrze wiesz, że między nami do niczego nie doszło. Zapewniam cię, że już dawno wybaczyłam sobie tamtą chwilę słabości - oznajmiła, skręcając w wąską, krętą drogę prowadzącą na farmę Marlowów.

- A mnie? Czy mnie też wybaczyłaś? - spytał znienacka, tonem zdradzającym głęboką niechęć do samego siebie.

Phoebe aż nadto dobrze знаła to uczucie. Sama od lat nie potrafiła uporać się z dręczącymi ją wyrzutami sumienia, przy czym jej własne poczucie winy było tak silne, że nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że i Connor może siebie o cokolwiek oskarżać.

- A cóż takiego miałabym ci wybaczać? - Na szczęście mieli przed sobą prosty odcinek drogi, bo słowa Connora tak nią wstrząsnęły, że na dobrych kilka sekund wypuściła z rąk kierownicę. - Przecież przez cały czas próbuję ci wyjaśnić, że nie zrobiłeś niczego, czego miałbyś się wstydzić - stwierdziła z naciskiem. - Po prostu oboje potrzebowaliśmy wtedy jakiegoś pocieszenia - dodała i odzyskawszy panowanie nad samochodem, zaparkowała za stojącym na poboczu ciągnikiem.

- To znaczy, że twoim zdaniem nic wielkiego się nie stało? Mam rozumieć, że to właśnie z tak błahego powodu od kilku lat robisz wszystko, żeby trzymać się ode mnie z daleka?

- A co? Twoim zdaniem bałam się, że znów będziesz chciał mnie pocałować? - Roześmiała się, jakby chciała podkreślić absurdalność takiego podejrzenia. - Jeśli tak, to muszę cię rozczarować. Mieszkaliśmy ze sobą dostatecznie długo, aby przekonać się, że łączyła nas tylko przyjaźń. To jasne, że po śmierci Penny ogarnęła cię rozpacz. - Z trudem przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu. - I nic dziwnego, że szukałeś u mnie pocieszenia. Wyglądałam przecież dokładnie jak ona.

- I dojście do tego wniosku zajęło ci całe cztery lata?

- Nie. Pięć minut.

- Skoro tak, to bądź tak dobra, i wyjaśnij mi wreszcie własne zachowanie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Poczowała, że ogarnia ją lęk.

- Skoro, jak utrzymujesz, wziąłem cię za Penny, to chciałbym wiedzieć, za kogo ty mnie wzięłaś? O kim wtedy myślałaś?

- O nikim! - krzyknęła, a widząc, że Connor przygląda się jej badawczo, dodała: - W ogóle wtedy nie myślałam. Mnie też było ciężko i instynktownie szukałam pomocy.

Przecież nie mogła mu wyznać, że tylko w jego ramionach mogła zaznać prawdziwego ukojenia.

- Chcesz przez to powiedzieć, że było ci właściwie obojętne, z kim się całujesz?

- Chyba tak - odparła z zawstydzaniem.

- Twoja historyjka brzmi całkiem logicznie - zauważył takim tonem, że Phoebe od razu zorientowała się, że jej nie uwierzył. - Jednego tylko nie pojmuję. Skoro to takie proste, to dlaczego odsyłałaś moje listy, nie racząc ich nawet przeczytać? I dlaczego wkrótce potem zapadłaś się pod ziemię?

Tym razem Phoebe nie musiała kłamać.

- Gdybyś mnie widywał, pewnie nigdy nie zdołałbyś dojść do siebie po stracie Penny. Mój widok bez przerwy by ci ją przypominał.

Ironiczny uśmiech błakający się na ustach Connora nagle się gdzieś ulotnił.

- To znaczy, że wyjechałaś, żeby oszczędzić mi bólu? Phoebe skinęła głową.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Connor oparł głowę na fotelu i przymknął oczy. Widać było, że próbuje się uspokoić.

- A nie przyszło ci na myśl - odezwał się wreszcie - że ja tymczasem umierałem z niepokoju? Na początku postanowiłem odczekać kilka tygodni, żebyś zdołała ochłonać. A potem okazało się, że uciekłaś gdzieś za granicę. Przynajmniej tyle udało mi się wyciągnąć od Magdy.

Rzeczywiście, Phoebe kazała matce przysiąc, że za nic w świecie nie zdradzi Connorowi miejsca jej pobytu. I o dziwo, Magda Miller zdołała dochować tajemnicy, co w znacznej mierze należało przypisać jej zdecydowanej niechęci do zięcia. Zresztą Connor też za nią nie przepadał i nigdy nie ukrywał, co sądzi na temat kobiet, które decydują się zostawić męża i sześciomiesięczne córki.

- Myślisz - ciągnął z narastającym wzburzeniem - że nie potrafię dostrzec w drugim człowieku niczego poza twarzą? Naprawdę uważasz, że jestem aż tak powierzchowny? Przecież wcale nie jesteś podobna do Penny! Wcale!

Phoebe nie mogła odmówić mu racji. Fakt, nigdy nie umiała dorównać siostrze. To Penny była atrakcyjna, żywiołowa i zawsze tryskała energią. Ona zaś zawsze chowała się w cieniu.

Otrząsnęła się. Tego tylko brakuje, by Connor zaczął podejrzewać, że użala się nad sobą. Nie da mu tej satysfakcji. Odważnie podniosła głowę do góry.

- Nie?

- Oczywiście, że nie. I dowiedz się, że nigdy, ale to nigdy cię z nią nie myliłem. - Wreszcie udało mu się zbić Phoebe z tropu.

- Nigdy? - zapytała niepewnie.

- Nigdy - powtórzył.

Powoli zaczynał docierać do niej sens jego słów.

- To znaczy... - szepnęła.

- To znaczy, że świetnie zdawałem sobie sprawę, kogo całuję. Tak więc cała twoja wzruszająca bajeczka o zropanym mężu nijak się ma do rzeczywistości - oznajmił, nie kryjąc rozgoryczenia.

Phoebe pokręciła głową z niedowierzaniem. Czyżby przez te wszystkie lata myliła się, sądząc, że namiętność Connora

spowodowana była jej uderzającym podobieństwem do siostry? Ale w takim razie...

Poczuła, że zakreśliło się jej w głowie, więc szybko opuściła szybę i odetchnęła głęboko rześkim, wiejskim powietrzem.

- Wiedziałem, że to ty. Nauczyłem się rozpoznawać twój samochód po warkocie silnika.

- Rob! - Phoebe z impetem otworzyła drzwi i z poczuciem ogromnej ulgi wyskoczyła z samochodu.

- Uważaj, żeby się nie potknąć. - Mężczyzna roześmiał się głośno i podał jej rękę. - Świetnie, że jesteś. Mama właśnie nastawiła wodę na herbatę.

- Dziękuję za zaproszenie, ale niestety już jestem spóźniona.

Była zbyt zajęta własnymi myślami, żeby zauważyć, jak bardzo zmartwiła go jej odmowa.

- Wpadłam tylko po to, żeby dać ci tę kasetę wideo, o której rozmawialiśmy. - W trakcie jednej z niedawnych wizyt Roba w przychodni okazało się, że zarówno on, jak i Phoebe przepadają za filmami przyrodniczymi.

Sięgnąwszy do przepastnej kieszeni płaszcza, wyjął kasetę, upuszczając niechcący czerwoną rękawiczkę z miękkiej, cielejącej skórki. Oboje odruchowo pochylili się, by ją podnieść, i przez nieuwagę zderzyli się mocno głowami.

Phoebe zachwiała się i gdyby Rob nie chwycił jej za ramiona, pewnie osunęłaby się na ziemię. Na krótką chwilę przywarta twarzą do jego płaszcza.

Connor, który przyglądał się całemu zajściu z samochodu, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że okoliczności, jakich był świadkiem, nie do końca usprawiedliwiają nad wyraz czule zachowanie pacjenta.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Rob wyraźnie zaniepokojony.

Phoebe wyprostowała się.

- Czyżbyśmy się zamienili rolami? - zażartowała i popatrzyła wymownie na zaciśnięte na jej ramionach dłonie.

Rob zaczerwienił się i błyskawicznie cofnął ręce.

- Ale teraz to już naprawdę musisz wstąpić na herbatę - powiedział. - Nie możesz przecież prowadzić w tym stanie.

Najlepszym lekarstwem byłyby teraz kieliszek brandy, westchnęła Phoebe w duchu, wróciwszy myślami do niebywałego wyznania, jakim przed chwilą uraczył ją Connor. Może niepotrzebnie doszukuje się w nim szczególnego znaczenia? Ale przecież Connor zawsze ważył słowa. W jej głowie kłębiło się coraz więcej pytań, i jak zwykle w takich sytuacjach, na żadne nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

- Naprawdę z chęcią bym do was wstąpiła, ale nie jestem dziś sama. - Wskazała wzrokiem na samochód.

- Doktor Carlyle właśnie wrócił z zagranicy. Muszę go odwiedzić do domu.

- Rozumiem. - Dostrzegłszy siedzącego na przednim siedzeniu pasażera, Rob w końcu skapitulował.

- Ale mam nadzieję - dodał po chwili namysłu - że nie oznacza to, że już niedługo nas opuścisz.

- Jeszcze nie wiem...

Rzeczywiście nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji. Z jednej strony zdawała sobie sprawę, że powinna zniknąć z Hayfield jak najszybciej, z drugiej jednak nie chciała stawiać Willa w wielce kłopotliwej sytuacji. Przecież zanim znajdą kogoś nowego na zastępstwo, upłyną co najmniej dwa tygodnie.

- Bardzo by nam ciebie brakowało.

- Miło mi to słyszeć, Rob. - Uśmiechnęła się na pożegnanie i wróciła do samochodu.

Zanim zdążyła uruchomić silnik, młody człowiek podszedł bliżej, żeby przywitać się z Connorem.

- Słyszałem o pana wypadku, doktorze. Teraz sam pan widzi, co znaczy znaleźć się w skórze pacjenta.

- Tak bywa. A co tam nowego u ciebie?

- Nie mam powodów do narzekań. Doktor Miller jest dla mnie taka dobra. - Z tkliwością popatrzył na lekarkę. - Wie pan, że wyprowadzam się w końcu od rodziców i zaczynam w miarę normalnie funkcjonować.

- To wspaniale! A nie możesz mi przypadkiem zdradzić, co skłoniło cię wreszcie do zmiany decyzji? - Kiedy Rob zauważył, że wzrok osłabł mu do tego stopnia, że nie może prowadzić samochodu, zamieszkał z rodziną i nikt nie był go w stanie przekonać, że mimo choroby powinien żyć samodzielnie. - Albo raczej kto ma na ciebie tak zbawienny wpływ?

- Jak to kto? Oczywiście, że Phoebe. Nawet nie domyśla się pan, jak wiele jej zawdzięczam.

- Robię tylko to, co do mnie należy - wyjaśniła szybko i nie zrozumiała niechętnego spojrzenia, którym Connor właśnie ją obrzucił,

- Nieprawda! - Rob zapewne wyobrażał sobie, że robi jej przysługę. - Oddałaby własną duszę za pacjenta.

- Właśnie...

Phoebe zbyła tę drobną uszczypliwość wzruszeniem ramion i pożegnawszy się szybko z Robem Marlowem, ruszyła w dalszą drogę. Znając Connora, była więcej niż pewna, że nie przyjdzie jej długo czekać, by dowiedzieć się, o co tym razem ma do niej pretensję. Ciekawe, pomyślała, jaką będzie miał minę, kiedy przekona się, że przynajmniej w kwestiach zawodowych doktor Miller nie pozwala sobie w kaszę dmuchać.

- Skręć w pierwszą w lewo.

- Dobrze wiem, gdzie mieszkasz.

- Skąd? Pytałaś się kogoś?

- Nie musiałam. Dziwnym trafem całe Hayfield przejawia jakieś niezdrowe zainteresowanie twoją osobą. Wszyscy wiedzą, co robisz, jak mieszkasz i z kim się spotykasz.

- I co? Dowiedziałaś się czegoś ciekawego? - zapytał aksamitnym głosem, od którego Phoebe znów przeszły dreszcze.

- Podobno sypiasz bez piżamy. Tak przynajmniej twierdzi twoja pani do sprzątanania...

- Kochana Olive! Bez niej chyba bym zginął.

- Nie sądzę - roześmiała się. - Uważa, że doskonale sobie radzisz. Chyba nawet ma ci to za złe, bo jej zdaniem prawdziwy mężczyzna nie powinien umieć wyprasować sobie spodni.

- Rob Marlow jest w znakomitej formie, prawda? - Connor zmienił nagle temat.

Miała rację. Nie musiała czekać długo.

- Uważasz, że to źle?

- Nie, skądże.

- Posłuchaj, jeśli masz jakieś zastrzeżenia do moich metod, to bądź łaskaw od razu mnie o nich poinformować. Nie lubię owijania w bawełnę.

- Jak chcesz. - Spojrzał na nią z powagą. - Rzecz w tym, że nasz grafik jest za bardzo napięty, żeby pozwalać sobie na towarzyskie wizyty w czasie godzin służbowych. Zastanawiam się, czy w stosunku do innych chorych jesteś równie troskliwa. Bo chyba zdążyłaś się już nauczyć, że właśnie w przypadku pacjentów o wyjątkowo delikatnej psychice nie wolno nam przekraczać pewnych z góry ustalonych granic. Nie tylko dlatego, że jest to po prostu nieetyczne, ale też...

- Zdajesz sobie sprawę, że zacząłeś mi prawić kazanie? - spytała, żywiąc nadzieję, że zdoła obrócić całą tę niezręczną sytuację w żart.

- A ty próbujesz uniknąć odpowiedzi - odparował.
- To znaczy, że nie podoba ci się sposób, w jaki odnoszę się do Roba Marlowa?

- Nie wiem. - Przed oczyma stanął mu widok młodego mężczyzny przytrzymującego Phoebe czule za ramiona. - Po prostu mam pewne wątpliwości.

- Bo co? Uważasz, że cały kontakt lekarza z pacjentem powinien ograniczać się do wypisywania recept? Przecież czasami zwykła rozmowa może działać więcej niż leki.

- Zgoda. Tyle że nawet wtedy trzeba mieć na względzie utrzymanie zawodowego dystansu - odparł z przekonaniem. - Naprawdę nie zauważyłaś, że ten chłopak stracił dla ciebie głowę?

- Nie bądź śmieszny! - Phoebe zaczerwieniła się po uszy.
- Przecież tylko próbuję pomóc mu poradzić sobie w trudnej sytuacji...

- Skoro tak twierdzisz... Zresztą, cokolwiek bym powiedział, i tak nie zdołam cię przekonać. Nie znam drugiej tak upartej i zadufanej w sobie kobiety jak ty.

- Przyganiał kocioł garnkowi. Connor wzruszył ramionami.

- Tylko nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy się w końcu zorientujesz, że sprawy zaszły za daleko.

- Ty... - Ledwie powstrzymała się od użycia mało eleganckiego epitetu. - Ręczę ci, że akurat na twoim ramieniu nie będę się wypłakiwać. - Już raz popełniła ten błąd i niestety jego skutki odczuwa do dziś.

- Możliwe. Ale uważaj, bo jak by powiedziała moja mama, łatwo jest być mądrym po szkodzie.

Na wzmiankę o Maureen Carlyle, Phoebe poczuła, że ogarnia ją wzruszenie. Podejrzewała, że matka Connora była jedyną osobą na świecie, która domyślała się prawdziwego

stanu uczuć Phoebe, ale poza drobną wzmianką na weselu syna nigdy nie uczyniła żadnej uwagi na ten temat.

- Co u niej słyszeć?

- Nie żyje od roku.

- Tak mi przykro... - Phoebe poczuła, że coś ją ściska za gardło. - Była naprawdę niezwykłą kobietą.

- Lubiła cię, wiesz?

- Zmarła na serce? - zapytała przez łzy. Pamiętała, że Maureen przez wiele lat leczyła się u kardiologa, ale po wszczepieniu by - passów podobno czuła się znacznie lepiej.

- Miała bardzo rozległy zawał.

- Nic o tym nie wiedziałam. Pewnie dlatego, że wyjechałam.

- A gdzie się podziewałaś?

- Mieszkałam za granicą - odparła enigmatycznie.

- Nic dziwnego. Przecież zawsze lubiałaś podróżować. - Connor położył głowę na oparciu fotela. Trudy dzisiejszego dnia dawały mu się coraz bardziej we znaki. - Przypuszczam, że w porównaniu z innymi krajami nasz sielski krajobraz cokolwiek cię nuży.

Phoebe rozejrzała się po ciągnących się po horyzont zielonych polach i rozchyliła usta w nostalgicznym uśmiechu.

- Raczej uspokaja - powiedziała cicho.

Mimo że bywała w potworniejszych miejscach niż obóz dla uchodźców na granicy dwóch ogarniętych wojną afrykańskich państw, to właśnie tam zdała sobie sprawę, że jej odporność w końcu się wyczerpała. Ogrom ludzkiego nieszczęścia i bezsilność lekarzy zatrudnionych, tak jak ona, w ośrodkach misyjnych przez jedną z międzynarodowych organizacji sprawiły, że wracała do kraju z poczuciem klęski.

- Może to i dobry przerywnik po nadmiarze wrażeń - przyznał Connor. - Ale założę się, że nie minie pół roku, a znów zatęsknisz za wielkim światem.

Nie odezwała się. Connor najwyraźniej znowu myli ją z siostrą. Przecież to Penny uwielbiała wielkomięski ruch i towarzystwo. Tymczasem Phoebe wolała skulić się na kanapie i pojadając czekoladki, obejrzeć film w telewizji, niż włączyć się gdzieś po mieście.

Przez chwilę jechali w kompletnej ciszy, aż wreszcie Connor zapadł w drzemkę. Phoebe zaśmiała się w duchu. O ironio! Oto w trakcie najtrudniejszej dysputy, jaką przyszło jej w życiu prowadzić, rozmówca zaczął chrapać!

Connor spał tak mocno, że nie obudził się nawet wtedy, kiedy wjechała na wybrukowany kocimi łbami podjazd prowadzący do jego domu. Zatrzymała samochód pod bramą i z uznaniem popatrzyła na zgrabny, piętrowy budynek wzniesiony z kremowego piaskowca. Mimo że wielokrotnie przejeżdżała w jego pobliżu, dotąd poskramiała ciekawość i nie zaglądała w to miejsce.

Connor wciąż się nie budził, więc Phoebe skorzystała z okazji, by przyjrzeć mu się dokładniej. Teraz, kiedy z jego twarzy znikło napięcie, wyglądał prawie tak samo jak w dniu, w którym jako początkująca studentka stanęła w progu jego mieszkania w odpowiedzi na ogłoszenie o pokoju do wynajęcia. Ileż to musiała się nagadać, by go przekonać o korzyściach dzielenia lokum z dziewczyną!

W przypiływie wzruszenia ledwie powstrzymała się od pogłaskania go teraz po lśniących włosach.

Odgłos parkującego gdzieś obok samochodu sprowadził ją z powrotem na ziemię. Trzaśnięcie drzwi, które nastąpiło parę sekund później, było na tyle głośne, że Connor otworzył oczy i rozejrzał się wokół nieprzytomnie.

Kiedy jego wzrok padł na siedzącą obok kobietę, twarz rozjaśnił mu ciepły, serdeczny uśmiech, który podziałał na Phoebe jak balsam.

Ale zanim zdążyła odwzajemnić tak wyraźny przejaw sympatii, jego rysy nagle się posepnie ściągnęły, a z oczu znikła wszelka życzliwość.

Dobry Boże, pomyślała z lękiem. Znowu pomylił mnie z Penny...

ROZDZIAŁ TRZECI

Natarczywe stukanie w szybę wyrwało Phoebe z odrętwienia.

- To Ellen - wykrztusiła, patrząc z obrzydzeniem na długie, pomalowane na jaskrawoczerwony kolor paznokcie.

- Widzę.

Nie potrafiła wywnioskować z tonu głosu Connora, czy niespodziewane pojawienie się przyjaciółki sprawiło mu jedynie przyjemność, czy też spowodowało jakiś gwałtowniejszy przypływ uczuć. Ale sama myśl o tym, że Connor mógłby się kochać z tą okropną kobietą, przyprawiła Phoebe o mdłości.

Ellen z impetem otworzyła drzwi od strony pasażera i wewnątrz samochodu natychmiast wypełniło się zapachem jej kosztownych perfum.

- Con! Dlaczego nie dałeś mi znać, że wróciłeś? Z przyjemnością bym cię podwoziła.

Baba używa zdecydowanie za dużo szminki, uznała Phoebe, przyglądając się tłustym, jaskraworóżowym śladom na policzkach Connora. I z całą pewnością jest zanadto natrętna. Chociaż z drugiej strony obiekt natarczywych zabiegów tej przystojnej skądinąd kobiety zdawał się, o zgrozo, nie mieć nic przeciwko jej wylewności.

- Phoebe akurat była pod ręką.

- Właśnie - odezwała się Phoebe, coraz bardziej zirytowana zachowaniem Ellen, która dotąd zdawała się w ogóle nie zauważać jej obecności.

- Ach, tak. Przypuszczam, że doktor Miller będzie musiała się teraz bardzo spieszyć, żeby zakończyć wizyty domowe przed wieczornym dyżurem. - Jasnowłosa Ellen uśmiechnęła się cierpko. - Odnoszę wrażenie, że pacjenci mają skłonność do nadużywania jej wspaniałomyślności.

- Jest pani dla mnie aż nazbyt uprzejma... - Phoebe odwzajemniła uśmiech, gryząc się w język, by nie powiedzieć czegoś, czego mogłaby potem żałować.

Znając przenikliwą naturę Connora, przypuszczała, że zdążył się już zorientować, iż pani doktor i jej przełożona żywią do siebie niechęć. Był zawsze tak domyślny, że nawet dziwiła się, że nie zorientował się wcześniej w prawdziwych uczuciach siostry Penny. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby dowiedział się, że kocha go od dawna?

- A poza tym, proszę nie przypisywać mi cudzych zasług. To Will wpadł na pomysł, żebym podrzuciła doktora Carlyle'a do domu. Ale dobrze, że pani przyjechała, bo przypuszczam, że obie będziemy musiały mu pomóc wydostać się na chodnik. - Phoebe otworzyła drzwi i nie zważając na protesty Connora, wysiadła z samochodu i stanęła przy Ellen, która zapominając o pozorach grzeczności, po prostu odepchnęła ją na bok.

Phoebe nie zamierzała się narzucać. Stanęła nieopodal i wzięwszy się pod boki, ze stoickim spokojem czekała na dalszy rozwój wypadków.

Nie musiała czekać długo. Już po chwili wyfiokowana blondynka z obrażoną miną odsunęła się od samochodu. Phoebe przyjęła jej reakcję z pewnym zaskoczeniem, gdyż zważywszy na okoliczności, Connor zachowywał się w sposób całkiem powściągliwy. Pomyślała, że może nie łączy ich jednak żaden intymny związek, skoro parę nieszczególnie wulgarnych słów, jakie rzucił przecież pod własnym adresem, aż tak bardzo Ellen zszokowało. Przecież powinna się już orientować, że Connor należy do mężczyzn, którzy nie są w stanie zaakceptować własnej niesprawności.

- Do jasnej cholery! Możesz się wreszcie uspokoić i przestać udawać jakiegoś macho! - rzekła zniecierpliwiona Phoebe, nie zamierzając udawać przed Ellen, że dopiero

poznała Connora. Nie miała najmniejszego powodu, by oszczędzić jej przykrego ukłucia zazdrości. - Oprzyj się o nas i spróbuj się podnieść.

O dziwo, utkwivszy na moment wzrok w jej zaczerwienionej ze złości twarzy, Connor posłusznie wykonał polecenie.

- Kule są na tylnym siedzeniu - powiedziała, zerkając na Ellen.

Jednak pani kierownik sprawiała nadal wrażenie tak strasznie obrażonej, że nawet nie ruszyła się z miejsca.

- Dasz radę przez chwilę ustać bez pomocy? - Tym razem Phoebe zwróciła się do Connora.

Ciepło bijące z jego ciała, które teraz było o nią oparte, oddziaływało na nią tak silnie, że sama ledwie trzymała się na nogach. Miała wrażenie, że obecnie stanowią dwie doskonale dopasowane do siebie połowy i z całych sił starała się ukryć wzbierające w niej pożądanie.

- Chyba tak...

Była tak rozkojarzona, że przez moment nie pamiętała, o co go zapytała.

- Co powiedziałaś? Ach, tak. - Zarumieniła się ze wstydu.

- W takim razie spróbuj, bo dłużej nie wytrzymam!

- Ani ja - mruknął, spoglądając wymownie na jej wznoszące się pod wpływem przyspieszonego oddechu piersi.

Zadrżała.

- Może się pani pospieszyć i podać mu wreszcie te kule? - zawołała. - W końcu to pani bez przerwy powtarza, że czas to pieniądz.

- Przecież robię wszystko, co w mojej mocy.

Ellen była tak wściekła, że Phoebe natychmiast nabrała pewności, że w ciągu najbliższych dni kierowniczka będzie kierować do niej najbardziej niewdzięczne przypadki. Na razie jednak nie to mąciło jej spokój. Connor w końcu postawił

chorą nogę na ziemi, dzięki czemu, czyniąc pół obrotu, zdołała wyzwolić się nieco z jego uścisku. I właśnie wtedy odczuła fizycznie objawy jego pożądania. Odniosła wrażenie, że śni. Gdy podniosła wzrok, siła bijąca z jego pociemniałych oczu ubezwłasnowolniła ją zupełnie. Ogarnął ją zachwyty.

Aż bała się pomyśleć, co mogło się wydarzyć, gdyby nie Ellen, która wyciągnawszy wreszcie kule, cisnęła je ze złością w ich kierunku.

Phoebe cofnęła się o krok i chyba po raz pierwszy w życiu spojrzała na przyjaciółkę Connora z wdzięcznością. Przecież jeszcze chwila, a kompletnie straciłaby głowę. Tymczasem teraz, kiedy zdołała już nieco ochłonąć, zdała sobie sprawę, że niespodziewane pobudzenie Connora miało niewiele wspólnego z jej osobą. To pewnie widok Ellen wprowadził go w ten stan, a to, że akurat opierał się o szwagierkę, było po prostu dziełem przypadku. A może znów wrócił wspomnieniami do Penny?

Tak czy owak, uznała, że najlepiej zrobi, zostawiając go na razie pod opieką najeżonej blondynki.

- Rzeczywiście, na mnie już czas. Poradzicie sobie sami?
- zapytała, zmuszając się do uśmiechu, mimo że myśli o tym, że oboje pewnie nie mogą się doczekać, aż zniknie za rogiem, przyprawiała ją o ból.

- Oczywiście, moja droga - zapewniła ją Ellen, zdecydowanie zbyt pośpiesznie.

Phoebe wsiadła do samochodu i przycisnąwszy niby to beztrąsko klakson na pożegnanie, ruszyła przed siebie.

Dopiero po kilku minutach zorientowała się, że pojechała w złym kierunku.

- Dziękujemy, że zgodziła się pani nas przyjąć. Wiem, że powinniśmy się wcześniej zapisać, ale Jane wróciła ze szpitala tak bardzo zdenerwowana...

- Rozumiem. Proszę, niech państwo usiądą.

Kiedy w czasie ostatniej wizyty Jane Robertson dowiedziała się, że nareszcie jest w upragnionej ciąży, o mało nie oszalała ze szczęścia. Natomiast dzisiaj na jej twarzy malował się wyraz głębokiego przygnębienia.

- Wiem, że pewnie niepotrzebnie zawracam pani doktor głowę, bo wyjaśniono mi wszystko w szpitalu, ale byłam tak przerażona, że niewiele zrozumiałam. Kiedy powiedzieli mi, że potrzebne będzie cesarskie cięcie, po prostu wpadłam w panikę. Gdyby John był ze mną... - dziewczyna zacisnęła rękę na dłoni męża - pewnie... - Głos uwiązł jej w gardle.

Współczucie, z jakim Phoebe słuchała pacjentki, mieszało się z pewną dozą zazdrości. Dziewczyna najwyraźniej ufała, że mąż potrafi poradzić sobie we wszelkich trudnych sytuacjach i sama jego obecność dodawała jej otuchy.

- Niestety, musiałem być w pracy - wyjaśnił mężczyzna ze skruchą.

Phoebe odłożyła na bok wynik badania USG, które wywołało całe dzisiejsze zamieszanie, i uśmiechnęła się do przyszłych rodziców.

- Przede wszystkim chciałam państwa zapewnić, że ciąża nie jest zagrożona. A teraz zacznijmy od początku. Czy pani wie, co to jest łożysko przodujące?

- Nie bardzo. - Dziewczyna popatrzyła na męża, jakby szukała u niego pomocy. - Ale przyjaciółka mówiła mi...

- Koleżanki bywają niezastąpionym źródłem informacji, lecz często nie posiadają wystarczającej wiedzy - Phoebe przerwała jej w pół zdania i położyła na biurku kartkę papieru.

- Proszę popatrzeć. To jest pęcherz moczowy. - Szybko wykonała ołówkiem uproszczony szkic narządów rodnych kobiety. - Płód odżywiany jest przez łożysko, które wykształca się w czasie ciąży. Badanie ultrasonograficzne wykazało, że w pani przypadku rozwija się tutaj - wskazała na rysunek - nad szyjką macicy. Niewykluczone, że się przesunie

i wtedy nasz problem sam się rozwiąże. To całkiem prawdopodobne. Ale może też nie zmienić pozycji. Dlatego lekarz w szpitalu zalecił pani regularne badania USG.

- No właśnie. Co się stanie, jeżeli łożysko się nie przesunie? - Mężczyzna objął żonę z czułością.

- W trakcie akcji porodowej szyjka macicy otwiera się, umożliwiając kobiecie urodzenie dziecka. W przypadku łożyska przodu ta droga jest zamknięta. Więc gdybyśmy dopuścili do porodu siłami natury, mogłoby dojść do pęknięcia łożyska, a to grozi poważnym krwotokiem zagrażającym i matce, i noworodkowi.

- I dlatego powiedzieli, że pewnie będę musiała mieć cesarskie cięcie?

- Właśnie. To jedyny sposób, żeby maleństwo przyszło bezpiecznie na świat. Powinna się pani zgłosić na oddział jakiś czas przed wyznaczoną datą porodu.

- A tak chciałam, żeby John mi towarzyszył... Phoebe roześmiała się i podała dziewczynie paczkę ligninowych chusteczek.

- Nie widzę przeciwwskazań. Jeśli zdecydujecie się państwo na znieczulenie zewnątrzoponowe, zachowa pani przez cały czas przytomność, a mąż będzie mógł trzymać panią za rękę. Powiem więcej, to on pierwszy zobaczy dziecko.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Przecież nie rzucałabym słów na wiatr. - Phoebe śmiesznie zmarszczyła brwi. - W końcu jestem lekarzem, prawda?

- Fakt. - Oboje przyszli rodzice parsknęli śmiechem.

- A poza tym, tak jak mówiłam, jeszcze wszystko może się zmienić, tak że interwencja chirurga może w ogóle nie będzie konieczna.

Mniej więcej pół godziny po wyjściu uradowanych małżonków Phoebe uporowała się wreszcie z pozostałą jej do wykonania papierkową robotą i zaczęła się zbierać do wyjścia. Zdziwiła się, że mimo późnej pory Sally wciąż siedzi w rejestracji, pochylona nad kartami pacjentów.

- Jeszcze tu jesteś? Nie powinnaś już dawno być w domu?

- Teoretycznie tak. Nawet umówiłam się z Martym na siódmą, ale chyba będę musiała odwołać spotkanie.

- A to dlaczego?

- Ellen kazała mi uporządkować na jutro całą dokumentację. Myślałam, że skończę wcześniej, ale najpierw było mnóstwo zamieszania, bo pani Dennis odeszły wody w trakcie badania, potem Will poprosił, żebym wydobyła ze szpitala wyniki badań pana Henshawa, a tam...

- Rozumiem - Phoebe przerwała dziewczynie w pół zdania. - Może ci pomóc? Razem szybciej skończymy.

- Pani? - Sally otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Masz coś przeciwko temu?

- Nie, ale przecież jest pani lekarzem.

- No to co? - roześmiała się Phoebe. - Tam, gdzie wcześniej pracowałam, wszystko robiliśmy wspólnie. Co prawda pewnie lepiej by mi poszło szorowanie podłóg niż układanie dokumentów, ale obiecuję, że będę się starała. A tak przy okazji - dodała, przyglądając się z rozbawieniem kompletnie osłupiałej rejestratorce. - Jak się skończyła ta historia z panią Dennis?

- Ma kolejnego chłopaka. Trzy i pół kilo żywej wagi.

- Zdążyła tym razem na porodówkę?

Angela Dennis zastępnęła w okolicy tym, że urodziła pierwsze dziecko na tylnym siedzeniu samochodu, a drugie na schodach szpitala położniczego. Phoebe słyszała, że bywalcy miejscowej piwiarni zakładali się, gdzie przyjdzie na świat następny potomek Dennisów.

- Urodziła trzy minuty po przybyciu na oddział - roześmiała się Sally.

Nie minął kwadrans, a odłożyły na miejsce ostatnią kartę.

- No to gotowe. Może cię gdzieś podrzucić? - Phoebe podniosła się z krzesła.

- Dziękuję, ale mama pożyczyła mi dzisiaj swój samochód. Muszę jeszcze tylko zajrzeć do Ellen i zawiadomić ją, że skończyłam.

- To znaczy, że ona też jeszcze nie poszła do domu?

- Nigdy nie wychodzi przed doktorem Carlyle'em. Informacja o tym, że Connor znajduje się na terenie przychodni, sprawiła, że Phoebe postanowiła się jak najszybciej ulotnić. Chwyciła płaszcz i pożegnawszy się z rejestratorką, ruszyła korytarzem w kierunku wyjścia. Drzwi do gabinetu Connora były otwarte. Już miała spróbować przebiec niezauważona, kiedy raptem przyszedł jej do głowy pomysł, by nie odkładać dłużej nieuchronnej przecież konfrontacji. Prędzej czy później i tak będzie musiała stanąć z Connorem twarzą w twarz i rozmówić się z nim do końca.

Wzięła głęboki oddech i zapukawszy we framugę, weszła do środka. W gabinecie nie było nikogo. Mimo że sama zdecydowała się na tę rozmowę, przyjęła nieobecność Connora z wyraźną ulgą. Odwróciła się na pięcie i pewnie od razu wyszłaby na korytarz, gdyby jej wzrok nie padł na wiszący na ścianie obraz przedstawiający nostalgiczny, nadmorski pejzaż.

Doskonale pamiętała to miejsce. Kiedy była dzieckiem, ojciec zwykł zabierać tam ją i Penny na wakacje. Widać siostra postanowiła po latach uwiecznić na płótnie drogi sercu widok.

Na dźwięk zbliżających się kroków, Phoebe szybko otarła z policzka łzy wzruszenia.

- Podoba się pani? - Ellen stanęła obok niej przed obrazem.

- Bardzo - odparła, starając się nie okazywać rozczulenia.

- Słyszałam, że namalowała go żona Connora. Podobno była bardzo znaną ilustratorką.

- Owszem.

- Czyżby znała pani jej prace?

Phoebe podniosła wzrok i uważnie przyjrzała się kierownicze. Musiała przyznać, że nawet w klasycznej garsonce o kolorze spłowiałego błękitu prezentowała się nader interesująco.

- Tak. Penny to moja siostra. Byłyśmy bliźniaczkami. Nie zamierzała dłużej niczego ukrywać. Właściwie było jej teraz całkiem obojętne, jak Ellen zareaguje na tę wiadomość.

- Niemożliwe. Byłyście do siebie podobne?

- Byłyśmy identyczne. - Phoebe nie bez przyjemności dostrzegła zmianę w wyrazie twarzy rozmówczyni. Ta ostatnia informacja wyraźnie nie przypadła jej do gustu.

- Connor musi się dziwnie czuć, widując panią tutaj.

- Nie wiem. Proszę go o to zapytać.

- Nie omieszkać tego uczynić. Wie pani, on ma do mnie takie zaufanie. Często mi się zwierza i... - Ellen zawiesiła znacząco głos.

- Skoro tak, to musiał się bardzo zmienić - odparowała Phoebe bez chwili zastanowienia. - Dawniej był aż do przesady zamknięty w sobie. Twardy i milczący.

- Pewnie podobają się pani tacy mężczyźni, prawda, panno Miller?

- Twardzi i milczący jak słup wyciosany z drewna? Niekoniecznie - odparła może zbyt obcesowo, ale nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić Ellen wciągnąć się w babską pogawędkę. - A teraz muszę panią przeprosić - dodała, zerkając na zegarek - ale trochę się spieszę.

- Oczywiście. - Ellen z przesadną uprzejmością skinęła głową na pożegnanie. - Ale proszę zajrzeć do mnie jutro rano, bo chciałabym porozmawiać o przepisywanych przez panią lekach. Obawiam się, że możemy mieć pewne problemy z refundacją.

- Nie przepisuję niczego, co nie jest naprawdę konieczne - zachnęła się Phoebe, dotknięta do żywego.

- Ale czasami należałoby się zastanowić, czy nie istnieją jakieś tańsze odpowiedniki.

- Jednak nie zawsze równie skuteczne.

- Doskonale panią rozumiem, ale właściciele wymagają ode mnie, żebym pilnowała budżetu.

- A ode mnie, żebym leczyła pacjentów! Phoebe wyszła na korytarz, wręcz kipiąc ze złości.

Zauważywszy przez szparę pod drzwiami, że w gabinecie Willa pali się światło, postanowiła nie czekać do jutra, tylko od razu uprzedzić go, że nie zostanie w Hayfield ani dnia dłużej, niż to wynika z umowy. Nie ma najmniejszej ochoty na dalsze użeranie się z tą przeklętą babą.

- Mógłbyś poświęcić mi kilka minut? - zapytała, zaglądając do jego gabinetu. - Ojej, przepraszam. Myślałam, że jesteś sam. Wpadnę kiedy indziej.

- Nie, nie. Wejdz, proszę. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

- Naprawdę? - Oparła się o framugę. - Ja tylko... - tylko robię z siebie kompletną idiotkę, pomyślała. - Jeszcze raz przepraszam. Do zobaczenia jutro.

- Nie ma mowy. Przecież to tylko Connor. Właśnie. Nie potrafiłaby znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić uczucia, jakich doznała na jego widok. Niczym nastolatkę, która niespodziewanie spotyka wyśnionego idola, Phoebe wypełniła niewysłowiona radość, przemieszana z lękiem i niepewnością.

- Widzę. Jak się masz, Con? - zapytała, wchodząc z ociąganiem do gabinetu. Starła się zachowywać ze zwykłą pewnością siebie i swobodą.

Mężczyźni siedzieli przy biurku, pochyleni nad stertą dokumentów.

- Okropnie. Becca dała mi dziś taki wycisk, że prawie nie mogę się ruszać. - Rebecca Wilson, jedna z najlepszych fizjoterapeutek w kraju, która niedawno urodziła bliźnięta i spędzała urlop wychowawczy w Hayfield, na prośbę Willa zgodziła się poprowadzić u nich kilka sesji rehabilitacyjnych w tygodniu. - Bolał mnie nawet te mięśnie, których istnienia nigdy nie podejrzewałem.

- Ale przynajmniej jesteś w dobrych rękach. - Phoebe utkwiała wzrok w ścianie nad głową Connora. Nie potrafiła na niego patrzeć, nie tracąc przy tym pewności siebie. - Pewnie niebawem wrócisz do pracy.

- Nawet wcześniej, niż ci się wydaje - wtrącił Will.

- Jak to?

- Con postanowił już teraz wziąć kilka dyżurów. Phoebe o mało nie zakrztusiła się z wrażenia.

- Sam widzisz! - Will spojrzał z wyrzutem na przyjaciela.

- Doktor Miller też uważa, że jesteś niespełna rozumu.

Nieprawda, westchnęła w duchu. To chyba ja postradałam zmysły. Powinnam była od razu wyjechać. Możliwość, że przyjdzie im teraz regularnie spotykać się w pracy, nie mieściła się w jej wyobraźni. Za wszelką cenę nie może do tego dopuścić.

- Posłuchajcie - Connor nie zamierzał się poddać - może rzeczywiście nie zdołam w tym stanie przebiec kilometra w dwie minuty, ale nie trzeba być wyczynowcem, żeby wypisywać recepty.

- Mam rozumieć, że to właśnie perspektywa spędzania długich godzin za biurkiem tak cię pociąga?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Przecież przez tę epidemię grypy macie tu teraz istne urwanie głowy.

- Oficjalnie jeszcze jej nikt nie ogłosił.

Connor skwitował tę uwagę machnięciem ręki. Odnotowany ostatnio wzrost zachorowań był na tyle poważny, że wszyscy zdawali sobie sprawę, iż potwierdzenie wybuchu epidemii przez władze jest tylko kwestią czasu.

- Zrozumcie, że przez to tkwienie w domu niedługo zwariuję z nudów. A tutaj naprawdę mogę wam się przydać - oznajmił, kierując spojrzenie na Phoebe, która natychmiast poczuła, jak oblewa ją fala gorąca, a serce bije przyspieszonym rytmem.

- Nie ma ludzi niezastąpionych - upierał się Will. Z tym stwierdzeniem akurat nie mogła się zgodzić.

Nie wyobrażała sobie, by jakikolwiek inny mężczyzna mógł równie silnie oddziaływać na jej zmysły.

- Spróbuj przekonać o tym swoją żonę! - Connor parsknął śmiechem.

- A co? Żaliła się przed tobą?

- Skąd, po prostu stwierdziła, że przynajmniej czasami chciałaby zdażyć podać deser, zanim nie zostaniesz wezwany do kolejnego chorego.

- Przesada. Zresztą Trish już się do tego przyzwyczaiła. - Głos Willa zdradzał jednak, że Connorowi udało się dotknąć czulej struny.

Słyszając, że jeszcze chwila, a Will Edwards zacznie się łamać, Phoebe postanowiła przejąć od niego pałeczkę. Zgodnie z umową powinna pozostać w Hayfield jeszcze dwa tygodnie i za nic nie może dopuścić do tego, by w tym czasie Connor zaczął regularnie pojawiać się w pracy.

- Mimo wszystko wydaje mi się, że nie powinieneś narażać własnego zdrowia - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Jakoś sobie poradzimy.

- Możemy to przedyskutować.

- Właśnie - podchwycił Will ochoczo. - Najlepiej przy obiedzie. Zapraszam was do „Złotego Bazaranta”.

Phoebe przyjrzała się obu mężczyznom badawczo. Nie musiała być jasnowidzem, by domyślić się, że nagły zwrot w ciągnącej się już dość długo dyskusji nie jest dziełem przypadku, zwłaszcza że gdzie jak gdzie, ale akurat „Pod Złotym Bazarantem” stoliki należało rezerwować co najmniej kilka godzin wcześniej.

- Przykro mi, ale jestem już umówiona. - Intuicja podpowiedziała jej, by nie próbowała nawet dociekać, co kryje się za tym całym knowaniem.

- Szkoda - jęknął Will. - Zwłaszcza że Con poprosił Ellen, żeby...

Connor zmierzył przyjaciela tak piorunującym spojrzeniem, że ten zamilkł.

- Z kimś, kogo znamy? - zapytał.

- A co cię to obchodzi? Myślałby kto, że Phoebe musi się przed tobą tłumaczyć. Każdy ma prawo do osobistego życia.

- Wielka mi rzecz - mruknął Connor z nieukrywaną niechęcią.

Phoebe zacisnęła usta ze złości. Być może, gdyby rzeczywiście miała coś do ukrycia, nie poczułaby się aż tak dotknięta.

- Wyobraź sobie - syknęła - że dla mnie moje życie osobiste ma akurat spore znaczenie.

- No to masz szczęście.

Czując, że pod wpływem natarczywego spojrzenia jego granatowych oczu zaczyna się jej kręcić w głowie, pospiesznie skierowała się do wyjścia.

- Zaczekaj! - zawołał Will. - Przepraszam, jeśli zachowałem się trochę niezręcznie, ale tak naprawdę to obaj już wcześniej postanowiliśmy zaprosić cię na obiad.

- Wy dwaj? Connor też? - Ni stąd, ni zowąd poczuła ciarki na plecach.

- Oczywiście.

- Czy to prawda, Con?

Cóż miał jej odpowiedzieć? Że zrobiłby wszystko, aby nigdy już nie stracić jej z oczu? Jak mógł uczynić takie wyznanie kobiecie, która przez cały czas żywi przekonanie, że on sam widzi w niej nieżyjącą żonę. Obawiał się, że Phoebe nigdy nie uwierzy, że zawsze jej pragnął, i że ożenił się z Penny tylko dlatego, że tak bardzo przypominała mu dziewczynę, którą już wcześniej kochał całym sercem, tylko zbyt późno to sobie uświadomił.

- Nie sądzisz chyba, że mógłbym zaproponować komuś przystąpienie do spółki bez zgody Connora. - Will nie dawał za wygraną. - Przynajmniej racz nas wysłuchać. A tak poza tym, to pewnie nie wiesz, że „Pod Złotym Bazarantem” podają najlepszy creme brulee na świecie.

- Dlaczego nie zwrócić się do Alana?

Co to za brednie z jej przystąpieniem do spółki! Przecież Connor musi zdawać sobie sprawę, że taka możliwość w ogóle nie wchodzi w grę. Więc dlaczego stawia ją w tak idiotycznym położeniu? Posiadając większość udziałów w lecznicy, z łatwością mógł położyć kres nedorzecznym pomysłom Willa.

- Bo jest jeszcze stażystą. Muszę przyznać, że świetnie się zapowiada, ale brak mu doświadczenia. Poza tym nigdy nie ukrywał, że nie zamierza zostać w Hayfield na stałe. Marzą mu się podróże, a nam potrzebny jest ktoś, kto już wyrósł z takich pomysłów - tłumaczył Will.

- Są ludzie, którzy najchętniej całe życie spędziliby w podróży.

- Masz na myśli siebie? - Connor aż podskoczył.

- Być może. Ale najpierw, choć może nie brzmi to zbyt przekonująco, chcę po prostu wrócić do domu i umyć głowę. - Zacisnęła dłoń na paśmie lśniących włosów i uniosła je do góry, jakby chciała zademonstrować, że naprawdę wymagają natychmiastowego potraktowania szamponem. - Weźcie ze sobą Ellen. Jestem więcej niż pewna, że chętnie się z wami wybierze.

Connor przyglądał się Phoebe z nieprzytomnym zachwytem. Najchętniej zanurzyłby twarz w tych lokach, które niczym puszysta chmura okalały jej twarz. Mimo że starał się nad sobą panować, z każdą chwilą pożądał jej coraz gwałtowniej.

- Moim zdaniem wcale nie musisz ich dzisiaj myć - obstawał przy swoim Will.

- Oczywiście, że nie. Są piękne, naprawdę piękne. - Connor aż nazbyt pośpiesznie poparł przyjaciela.

Spojrząwszy na niego w tym momencie, Phoebe odniosła wrażenie, że w jego silnym ciele tkwi jakaś potworna moc, która na próżno próbuje się uwolnić. Aż zadrżała na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby energia ta wreszcie znalazła ujście.

- Wiesz co, Con? - Will musiał też zauważyć coś niezwykłego w zachowaniu przyjaciela. - Porozmawiam z Beccą, żeby nie przesadzała z tymi ćwiczeniami, bo chyba rzeczywiście nie bardzo ci służą. Może za wcześnie odstawiłeś środki przeciwbólowe?

- Ile razy mam ci powtarzać, że nic mi nie jest? - W każdym razie nic, co można by uleczyć lekami albo fizjoterapią, dodał w duchu.

- No dobrze. Powiedzmy, że ci wierzę. Więc jak?

- Przeniósł spojrzenie na Phoebe. - Naprawdę nie dasz się namówić?

- Przykro mi, Will, ale wolałabym jednak wrócić do domu - oparła stanowczo. Pomyślała, że musi szybko zakończyć tę rozmowę, bo jeszcze chwila i zmieni zdanie. - Poza tym, nie podjęłam na razie żadnej decyzji co do przyszłości.

- Więc jeszcze nie wszystko przepadło - ucieszył się Will.
- Niech ci się nie wydaje, że nie będziemy nalegać. Wiesz przecież, że znajdujemy się w rozpaczliwej sytuacji.

- To ci dopiero zachęta! - zaśmiał się Connor.

- Rzeczywiście, przepraszam. - Will był wyraźnie speszony. - Ale mam nadzieję, że Phoebe prawidłowo odczytała moje intencje.

- Oczywiście.

Zrozumienie motywów, jakimi kierował się Will, faktycznie nie stanowiło większego problemu. Ale dziwne zachowanie Connora wciąż stanowiło dla niej zagadkę.

Will pozbiierał dokumenty ze stołu, zatrzasnął teczkę i sięgnął po płaszcz.

- Chyba wciąż pada. Pójdę po samochód i zaparkuję przed wejściem - oznajmił, zbliżając się do drzwi. - Do zobaczenia, współpracowniczko.

- Też już pójdę - powiedziała. - Mam za sobą dość ciężki dzień.

Connor popatrzył w ślad za Phoebe z rezygnacją. Postanowił jej nie zatrzymywać. Przecież, skoro czeka już cztery długie lata, jeden dodatkowy dzień na pewno go nie zbawi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jednak zanim wyjdę - Phoebe raptem zawróciła od drzwi i utkwiała w Connorze badawcze spojrzenie - chciałabym, żebyś mi wyjaśnił, dlaczego nie poprosisz Willa, żeby skończył z tymi bredniami na temat przyjmowania mnie do spółki?

- A kto mówi, że to brednie?

- Każdy, kto ma przynajmniej odrobinę rozsądku! - odparła podniesionym głosem. - Chociażby Ellen Patterson. Nie słyszałam, żeby którekolwiek z moich poczynań przypadło jej do gustu.

- Tylko Ellen? - zapytał z drwiącym uśmiechem.

- Sądzę, że zdołam ją przekonać, żeby zmieniła zdanie.

- Nie wątpię. - Żałowała, że nie ma pod ręką niczego ciężkiego, czym mogłaby cisnąć teraz w jego kierunku. - A skoro już o niej mowa, to chciałam cię uprzedzić, że powiedziałam jej dzisiaj o wszystkim.

- To znaczy?

- Że byłeś mężem mojej siostry. Przepraszam, jeśli ci to nie na rękę, ale nie mogłam dłużej udawać. Will też powinien poznać prawdę.

- Will wie, co nas łączy.

- Jak to? - Phoebe aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Sam mu powiedziałem. W końcu nie jest to chyba tajemnica wagi państwowej?

- Oczywiście, że nie. Jednak nie raczyłeś poinformować Ellen...

- A uważasz, że powinienem? Dlaczego?

- No... nie wiem. Tyle że niektórzy mogą zacząć się dziwić, że trzymamy to w tajemnicy. Chociaż, przy odrobinie szczęścia, może uda mi się wyjechać, zanim się dowiedzą - dodała z westchnieniem.

- Nie liczyłbym na to. Tutejsza poczta pantoflowa działa szybciej, niż ci się wydaje. W każdym razie uważam, że we własnym interesie powinnaś się postarać choć trochę polubić Ellen. Możesz mi wierzyć, że dla niej liczy się przede wszystkim dobro firmy. Naprawdę, bardzo się o nią troszczy.

Może i troszczy, pomyślała Phoebe, ale na pewno nie o firmę.

- Powiedzmy, że masz rację. Zresztą nie w tym rzecz. Chodzi o to, że to my nie możemy razem pracować. Byłoby to co najmniej... - Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

- Niezręczne? - podpowiedział Connor.

- Łatwo ci żartować! - Spojrzała na niego ze złością. - Wiesz co? Zaczynam żałować, że nie przyjąłem oferty Willa i nie przystąpiłam do tej waszej cholernej spółki. Wtedy dopiero miałbyś się z pyszna!

Nie wydawał się specjalnie przestraszony taką perspektywą. Przechylił głowę i popatrzył na Phoebe z uwagą.

- Sądzę - odezwał się po dłuższym namyśle - że mimo wszystko zdołalibyśmy cię jakoś okiełznać. Oczywiście, na początku pewnie próbowałabyś gryźć i kopać... A tak a propos, to orientujesz się chyba, że jako główny udziałowiec, muszę reagować na zażalenia pacjentów.

Tym razem naprawdę udało mu się zbić Phoebe z tropu. Znieruchomiała z wrażenia.

- Nie rozumiem? Czyżby ktoś złożył na mnie skargę? - spytała z przestachem.

- Tak, ale nie masz się czym przejmować. Dobrze wiesz, że wszystkim się to przytrafia, nawet najlepszym.

Mimo iż nie mogła odmówić mu racji, bo nieomylni lekarze właściwie nie istnieją, to fakt, że akurat Connor informował ją o jakiejś pomyłce, zabolął ją niemiłosiernie.

- Z lubością prawisz mi kazanie, co? - zawołała oskarżycielskim tonem.

W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że Connor jedynie spełnia swój obowiązek. Zamiast się wściekać, powinna spokojnie dowiedzieć się, o co chodzi. Ale prowadzenie jakiegokolwiek rozsądnej rozmowy przekraczało w tej chwili jej możliwości.

- Co się z tobą dzieje? - Connor wciąż nie spuszczał z niej wzroku. - O ile pamiętam, wcześniej nie miałaś problemów z przyznaniem się do błędu.

- Ale teraz mam problem z tobą! - bąknęła żałośnie.

- Ze mną? Dlaczego?

Odniosła wrażenie, że kąciaki ust wykrzywiły mu się w kpiącym uśmiechu. Chyba niepotrzebnie wtrąciła tę osobistą uwagę. Teraz Connor na pewno nie da jej spokoju, tylko będzie chciał dociec prawdy. Starając się zachować panowanie nad sobą, postanowiła szybko zmienić temat.

- Kto złożył skargę?

- Lyn Proctor.

Westchnęła. Rzeczywiście zirytowała się, kiedy jadąc karetką do szpitala, dowiedziała się, że pani Proctor nie podała synkowi ani jednej pastylki antybiotyku, jaki Phoebe przepisała małemu na zapalenie oskrzeli. Ale nawet wtedy usiłowała nad sobą panować, choć nie omieszkała wyjaśnić kobiecie, że naraziła dziecko na poważne niebezpieczeństwo.

- Zadzwoiła do mnie do domu ze szpitala - wyjaśnił Connor - i powiedziała, że zachowałam się niegrzecznie i impertynencko.

- I co ty na to?

- Starąłem się ją uspokoić...

- Zwalając wszystko na mój brak doświadczenia, tak?

- Wyjaśniłem jej, że jesteś znakomitym lekarzem i że darzę cię absolutnym zaufaniem - oznajmił, parząc Phoebe prosto w oczy.

- Co?

Jakimś cudem zdołała opanować wzruszenie. Jeszcze by się domyślił, jak wiele znaczy dla niej ta pochwała.

- Przecież zawsze potrafiłaś rozmawiać z pacjentami. Działaś na nich bardzo kojąco.

- Tylko nie na panią Proctor.

- Fakt - roześmiał się Connor. - Pamiętam, że zawsze interesowała cię medycyna rodzinna. Nie myślę się, prawda? Sądziłem nawet, że masz już gdzieś własną praktykę.

Phoebe uznała, że przynajmniej na razie nie ma sensu wyjaśniać mu, jak spędziła ostatnie cztery lata.

- Z kolei ja przypuszczałam, że zostałeś wybitnym chirurgiem, że pracujesz w renomowanym szpitalu i jeździsz z wykładami po całym świecie.

- Widać ludzie się zmieniają...

Nie wszyscy, pomyślała. Ja, na przykład, wciąż darzę cię tym samym, niezmiennym uczuciem.

- Odziedziczyłem praktykę po dziadku. Na początku mieściła się gdzie indziej, bo ten budynek - rozejrzał się po nowocześnie wyposażonym gabinecie - wybudowałem dopiero później.

Connor wątpił, by jego nieżyjący już ojciec pochwalił sposób, w jaki syn spożytkował część pozostawionych mu w spadku pieniędzy. Ken Carlyle, który dorobił się sporego majątku, prowadząc nie do końca czyste interesy, przez całe życie próbował tępić u najbliższych wszelkie przejawy altruizmu, które zwykł brać za przejaw słabości.

- Dziadek postawił przy domu jednopokojową przybudówkę i tam przyjmował pacjentów - ciągnął Connor. - Kiedy zmarł, zamierzałem to wszystko sprzedać.

- To dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Bo zauważyłem, jak go tu wszyscy kochali. Pełnił bardzo ważną rolę w życiu tych ludzi, był częścią ich społeczności. Trudno mi to wytłumaczyć, ale... - Connor

rzadko miewał problemy z doborem słów, - A potem dotarło do mnie, że tak naprawdę, to lubię pracować na pierwszej linii. I doceniłem znaczenie medycyny prewencyjnej. Może nie jest aż tak porywająca jak inwazyjne formy leczenia, takie jak na przykład chirurgia, ale za to daje o wiele więcej satysfakcji.

Wyraz twarzy Phoebe świadczył o tym, że dokładnie rozumie jego słowa.

- Zazdroszczę ci - odezwała się po chwili namysłu. - Znalazłeś swoje miejsce na ziemi.

Zastanowiła się, jak zareagowałyby Penny na wybór, którego dokonał Connor. Nie bardzo potrafiła wyobrazić sobie kochającą wielkomiejski ruch siostrę w charakterze żony wiejskiego lekarza. Może gdyby nie tamten wypadek, życie Connora potoczyłoby się zupełnie inaczej...

Podczas gdy Phoebe, wsparta o framugę drzwi, pogrążyła się w rozmyślaniach, Connor przypominał sobie słowa potępienia, których nie szczędzili mu znajomi i koledzy po fachu na wieść o tym, że postanowił rzucić świetnie zapowiadającą się karierę chirurga i przenieść się na wieś. Phoebe Miller była właściwie pierwszą osobą, która okazała mu zrozumienie.

Musiał bezwiednie poruszyć się na krześle, bo raptem jedna z kul spadła z hukiem na podłogę i potoczyła się na tyle daleko, że nie mógł jej dosięgnąć. Zaklął pod nosem, twarz poczerwieniała mu z rozdrażnienia. Nie znosił siebie w tym stanie.

Phoebe zdawała sobie sprawę, że nie może okazać mu teraz współczucia. Podniosła kulę z podłogi i podała mu ją bez słowa. Kiedy jej palce na ułamek sekundy musnęły dłoń Connora, przeszedł ją tak silny dreszcz, że odskoczyła od niego jak oparzona.

- Czy pani Proctor była bardzo zdenerwowana? - zapytała, udając opanowanie, mimo że serce biło jej jak szalone.

Jedno wiedziała w tej chwili na pewno: musi zniknąć z Hayfield, zanim Connor zdecyduje się wrócić do pracy.

- Owszem, ale przede wszystkim miała pretensje do siebie.

- Chyba jednak niepotrzebnie zachowałam się niezbyt taktownie.

- Nieprawda - stwierdził Connor z kamienną twarzą. - Ktoś musiał w końcu przywołać ją do porządku. Gdybyś zareagowała mniej zdecydowanie, rzeczywiście mogłoby dojść do tragedii. Ale na szczęście wszystko się dobrze skończyło. W szpitalu powiedzieli mi, że organizm małego szybko zareagował na antybiotyk.

- Bo wreszcie go dostał. Na początku, kiedy mimo leczenia nie nastąpiła żadna poprawa, myślałam, że mamy do czynienia z jakimś szczepem odpornym na penicylinę. Nawet przez chwilę nie podejrzewałam, że matka po prostu nie podaje mu leków.

Dopiero kiedy doszło do zapalenia płuc i malec zaczął mieć poważne trudności z oddychaniem, Lyn wpadła w panikę i przyznała się, że jest zwolenniczką medycyny alternatywnej i starała się wyleczyć synka środkami naturalnymi.

- Powinłam się była domyślić. Ale matki zazwyczaj domagają się podania dzieciom antybiotyku nawet przy lekkich wirusowych infekcjach. Czasami muszę im długo tłumaczyć, że jest to wręcz niewskazane. Pewnie dlatego nie przyszło mi do głowy, że w przypadku pani Proctor jest akurat odwrotnie.

- To nie twoja wina, więc przestań się dręczyć. Najważniejsze, że dzieciak zdrowieje.

- Pewnie masz rację.

W oczach Connora zabłyśły przekorne ogniki.

- Ja prawie zawsze mam rację - zauważył.

- Tylko prawie zawsze? - Phoebe również zdołała zażartować.

Widać nie rozumiał jej poczucia humoru, bo pogodny wyraz twarzy, z jakim jeszcze przed chwilą z nią rozmawiał, raptem ustąpił miejsca śmiertelnej powadze.

- Ze wszystkich ludzi na świecie ty powinnaś wiedzieć najlepiej, że i mnie zdarzają się błędy - zauważył, kierując wzrok na jej usta, tak że nie musiała pytać, by zrozumieć, że znów wrócił myślami do pocałunku sprzed czterech lat.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki i po chwili w drzwiach gabinetu pojawił się Will, pobrzękując kluczykami samochodu.

- To jak? Może jednak się z nami wybierzesz? - Uśmiechnął się do Phoebe zachęcająco.

- W żadnym wypadku.

Czy to możliwe, by raz popełniony błąd miał odcisnąć nieusuwalne piętno na całym jej życiu? Jeśli tak, pomyślała, to przyszłość nie rysuje się przed nią szczególnie różowo.

Gdyby nie przeświadczenie, że Will i tak będzie miał pełne ręce roboty, Phoebe zapewne zdecydowałaby się zostać w domu. Już rano pękała jej głowa, czuła nieprzyjemne łamanie w kościach oraz dokuczliwy ból gardła.

A teraz, patrząc na siedzącego przed sobą promiennego pacjenta, z minuty na minutę coraz bardziej żałowała, że mimo choroby pojawiła się w pracy. Że też musiało się okazać, że Connor jak zwykle miał rację. Komplementy, jakimi Rob Marlow obsypywał ją od początku wizyty, stawały się coraz bardziej krępujące.

- Może wybralibyśmy się któregoś wieczora na drinka? - zaproponował.

Co prawda Rob natychmiast wstydliwie opuścił wzrok, ale i tak zdążyła zauważyć ogrom nadziei malującej się w jego spojrzeniu.

Z trudem przełknęła ślinę. Nie miała pojęcia, jak wyplątać się z tej żenującej sytuacji i nie zranić przy tym dumy zadurzonego w niej młodego człowieka.

- Oczywiście - powiedziała. - Twoje towarzystwo na pewno wszystkich ucieszy. Zwykle spotykamy się w King's Head...

- Wszyscy? - Rob nie ukrywał zdziwienia. - To znaczy kto?

- Alan, Will, Trish, no i dziewczyny - wyjaśniła skruszonym głosem.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się z goryczą. - Sama byś ze mną nigdzie nie poszła, prawda?

- Posłuchaj - zaczęła, uważnie dobierając słowa - pacjenci często czują jakąś szczególną więź z lekarzem, albo z pielęgniarką, a potem błędnie ją interpretują...

- Masz rację. Musiałem być głupi, że w ogóle pomyślałem. .. - Urwał i podniósł się z miejsca.

Phoebe przyglądała mu się ze współczuciem, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie zauważyła żadnych oznak uczucia z jego strony. Czyżby dlatego, że tylko Connor Carlyle bezustannie zaprzątał jej myśli?

- Nie powinniśmy czekać zbyt długo z tym drinkiem, Rob, bo wkrótce będę musiała wyjechać - zawołała w ślad za wychodzącym, po czym ukryła twarz w dłoniach.

Mimo najszczerzych chęci nie zdołała przecież stanąć na wysokości zadania. Doskonale wiedziała, jak wielką przykrość sprawiła nieszczęsnemu adoratorowi.

Zaraz po wyjściu Roba do drzwi gabinetu zapukała Sally.

- Nie ma pani już więcej pacjentów - oznajmiła. - Ale doktor Carlyle prosił, żebym zapytała, czy nie podwiozłaby go pani do domu.

Znowu ten Connor! Czy musi bez przerwy zawracać jej głowę!

- Wyjaśnij mu, proszę, że jeśli ma do mnie jakąś sprawę, to może zadać sobie tyle trudu, żeby załatwić ją osobiście. Albo nie, lepiej powiedz mu, że nie jestem przedsiębiorstwem transportowym. - Odgarnawszy włosy z czoła, podniosła głowę. - A w ogóle to nie rozumiem, po co tu się pęta. Same z nim problemy.

Dopiero wtedy zauważyła, że za plecami Sally, jak spod ziemi, wyrósł nie kto inny jak sam Connor. Oczywiście jego widok jak zwykle sprawił, że przed oczami Phoebe zawirował świat.

- Dziękuję, Sally. - Lekarz uśmiechnął się do wyraźnie zażenowanej sytuacją rejestratorki. - Możesz wracać do siebie.

Wszedł do gabinetu i zatrzasnął kulą drzwi.

- Kto jak kto, ale pracownik służby zdrowia, i to lekarz, nie powinien wyrażać się w ten sposób o inwalidzie - zauważył z przekąsem. - Zdajesz sobie sprawę, że Sally była zaszokowana twoim zachowaniem?

Zamiast odpowiedzieć, Phoebe zmierzyła go niechętnym spojrzeniem, przez co tylko niechcący dołała oliwy do ognia,

- A pomyśleć - ciągnął - że uważałem cię za kulturalną i światłą osobę.

- Bardzo śmieszne! - zadrwiła. Jego poczucie humoru jakoś przestało jej odpowiadać. - I nie patrz na mnie, bo mówię prawdę. Bez przerwy sprawiasz jakieś kłopoty. Już dwa razy o mało się dziś nie zabiłam, bo wpadłam na złożoną na korytarzu stertę podarunków pozostawionych tam dla ciebie przez wdzięcznych pacjentów z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.

- Nic nie poradzę na to, że wszyscy tak mnie kochają. Tak jak ja nic nie poradzę na to, pomyślała, że nie potrafię o tobie zapomnieć.

- Tyle że zamiast się włóczyć po przychodni, powinieneś leżeć.

- Nieprawda. Powiniennem powoli się wdrażać i właśnie to robię. Natomiast tobie dzień w łóżku na pewno dobrze by zrobił. Gołym okiem widać, że masz gripę - dodał, patrząc na jej zarumienione policzki i nienaturalnie błyszczące oczy.

- Nie mam żadnej grypy! - zaprotestowała gwałtownie. - Po prostu złapałam katar. - Kichnęła głośno, jakby chciała zademonstrować, że ma rację. - Jutro akurat mam wolne, więc rzeczywiście pewnie się położę. Poza tym to nie może być grypa, bo wszyscy zostaliśmy zaszczepieni.

- Ale wyglądasz tak, jakbyś miała gorączkę - powiedział, czując, jak na myśl o tym, że wspólnie mogliby spędzić jeden dzień w łóżku, i jemu zaczyna rosnąć temperatura.

Odstawił kule i oparłszy się o szafkę na dokumenty, rozluźnił krawat i rozpiął pod szyją koszulę.

- Wiesz co?! - syknęła. - Mam powyżej uszu ludzi, którzy mówią mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić!

- Może zapomniałaś, ale takie zachowanie nazywamy troską. - Nerwowa reakcja Phoebe bardziej go rozbawiła niż zagniewała. - A tak przy okazji, minąłem się na korytarzu z Robem Marlowem. Wyglądał dość żałośnie.

- Jeśli teraz powiesz, że mnie przestrzegałeś, to obiecuję, że osobiście pokroję cię tu na kawałki!

Connor roześmiał się tak serdecznie, że mało brakowało, a by się rozchmurzyła. Jednak po chwili zacisnęła usta i ponownie przywołała na twarz marsowy wyraz.

- Obiecuję, że nikomu nie pisnę na ten temat ani słówka. - Nadal próbował nadać rozmowie przyjazny ton. - Poza tym

nie przejmuj się tym tak bardzo. Na pewno niedługo mu przejdzie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że uczucie, jakim mnie obdarzył, jest powierzchowne, tak? - wybuchnęła, mimo że przecież właśnie w ten sposób już od dłuższego czasu starała się pocieszyć. - Doprawdy, imponuje mi twoja przenikliwość.

- Mów co chcesz - w końcu stracił cierpliwość - ale ja przynajmniej nie bałamucę swoich pacjentów.

Nabrawszy powietrza w płuca, Phoebe zmierzyła Connora lodowatym spojrzeniem.

- Skoro, jak słyszę, mam skłonność do prowokowania szczególnie wrażliwych, młodych mężczyzn, na pewno odetchniesz z ulgą, kiedy się dowiesz, że odrzuciłam propozycję przystąpienia do waszej spółki - wycedziła przez zęby.

- Przecież wiesz, że nie to miałem na myśli - rzekł nieco łagodniej. - A jeśli chodzi o to, że nie mam jak wrócić do domu...

- Chyba żartujesz! - zaśmiała się.

- Właśnie zamierzałem ci powiedzieć, że poproszę Ellen, żeby mnie podwiozła.

- Nie rozumiem, dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej - parsknęła. - Kto jak kto, ale ta pani z pewnością ci nie odmówi.

Grymas rozczarowania, z jakim Connor przyjął tę uwagę, jeszcze bardziej popsuł jej humor.

- Powiem szczerze - zauważył - że nie do końca pojmuję, dlaczego nawet nie próbujesz dać biednej Ellen szansy.

Nie wierzyła własnym uszom. Biedna Ellen? Też coś! Jak to się dzieje, że gdy facet zaczyna sypiać z kobietą, od razu opadają mu klapki na oczy.

- Przykro mi, jeśli cięto tak martwi, ale dzięki Bogu nie mam obowiązku cię uszczęśliwiać - broniła się rozpaczliwie.

- Stale podrywasz jej autorytet w obecności innych pracowników.

- To cytat? Czy też usiłujesz czytać między wierszami?

- Szczerze mówiąc, jestem trochę rozczarowany. Takie zachowanie w ogóle do ciebie nie pasuje.

- Pewnie nie będzie to łatwe, ale może uda mi się jakoś żyć ze świadomością, że sprawiłam ci wielki zawód - odparła z ironią w głosie.

- A tak w ogóle to nie pojmuję, dlaczego cała ta sprawa ma dla ciebie aż takie znaczenie. Szczególnie że Ellen naprawdę znakomicie kieruje lecznicą.

- Skoro tak uważasz...

- Co masz na myśli?

- Tylko tyle, że zważywszy na to, co was łączy, trudno ci zachować obiektywizm.

- Możesz mi wyjaśnić, czy zachowujesz się w tak obrzydliwy sposób dlatego, że spotykam się właśnie z Ellen, czy też odmawiasz mi prawa do jakichkolwiek osobistych kontaktów? Chwilami odnoszę wrażenie, że twoim zdaniem już zawsze powinienem chodzić w żałobie. Ale to, że ty uznałaś za słuszne do końca życia odprawiać pokutę, nie znaczy...

- Skąd ci przychodzą do głowy takie brednie? - Phoebe z największym trudem starała się trzymać nerwy na wodzy.

- Twierdzisz, że nie mam racji? To w takim razie wyjaśnij mi, co dotąd zrobiłaś z własnym życiem? Dlaczego nie chcesz pracować nigdzie na stałe, tylko bierzesz krótkoterminowe zastępstwa? Powiedzieć ci dlaczego? Ponieważ wciąż znajdujesz się w stanie jakiegoś zawieszenia! - Nawet nie próbował ukryć wzburzenia. - Kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że Penny umarła, a ty żyjesz? Że oboje żyjemy!

Tego już za wiele! Nie zamierzała dłużej wysłuchiwać podobnych impertynencji.

- Kogo właściwie chcesz przekonać, Con? - krzyknęła. - Mnie czy może siebie? Bo wyobraź sobie, że akurat mnie guzik obchodzi, z kim sypiasz. A jeśli masz nieczyste sumienie, to już twoja sprawa! - Zaśmiała się triumfująco. - W każdym razie, jeśli o mnie chodzi, możesz się spotykać z całą żeńską populacją Hayfield. Nic mi do tego!

Jej słowa wywarły na Connorze mniej więcej takie samo wrażenie, jakby pokazała mu język. W każdym razie na pewno nie dał się przekonać.

- Jak sobie życzysz - powiedział.

Pomyślała, że zaraz po prostu wyrzuci go za drzwi, ale zanim zdążyła zareagować, sięgnął po kule i bez słowa wyszedł na korytarz.

- To dla ciebie od Con... - Sally ugryzła się w język. - Ojej, miałam ci nie mówić, że to od niego.

Phoebe wysypała na blat zawartość dużej papierowej torby. Jej oczom ukazało się opakowanie tabletek przeciw grypie, witaminy, środek na katar, a także wielka tabliczka mlecznej czekolady.

- Ale dlaczego miałaś ukryć to przede mną?

- Bo bał się, że od niego nie będziesz chciała nic przyjąć - wyjaśniła rejestratorka, ośmielona uśmiechem błakającym się na ustach młodej lekarki.

Nie dodała wszakże, że napomknął przy okazji, że jeszcze nigdy nie widział równie perfidnej kobiety, jak właśnie doktor Miller.

- Powiedział jeszcze, że masz dużo pić i leżeć w łóżku.

- Co ty?

- Naprawdę. To bardzo miłe z jego strony, prawda? Nic ci nie jest? - spytała z przestrochą, gdy Phoebe niespodziewanie ukryła twarz w chusteczce.

- Nie, wszystko w porządku. To tylko głupie przeziębienie - odparła i pospiesznie wybiegła z przychodni,

powtarzając sobie w duchu, że łzy, które popłynęły jej z oczu, są jedynie wynikiem kataru i zmęczenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obudziła się po dziesiątej i podreptała na bosaka do kuchni, by zagotować wodę na kawę. Była jeszcze trochę osłabiona, ale i tak czuła się o niebo lepiej niż dzień wcześniej. Nawet katar zelżał na tyle, że jej nos odzyskał normalną, bladoróżową barwę.

Malutka kuchenka wypełniła się zapachem świeżo zmielonej kawy. Phoebe pomyślała, że chyba naprawdę odzyskuje zdrowie, bo jeszcze wczoraj w ogóle nie poczułaby jej aromatu.

W pierwszym odruchu miała chęć zignorować dzwonek do drzwi, który przeszył poranną ciszę panującą w maleńkim, stanowiącym własność przychodni domku, w którym zamieszkała, kiedy podjęła pracę w Hayfield. Od dwóch tygodni nie miała jednego wolnego dnia i nade wszystko pragnęła dziś odpocząć. Jednak poczucie obowiązku wzięło w końcu górę i z ociąganiem otworzyła drzwi.

Na widok nieproszonego gościa wypuściła z dłoni klamkę i cofnęła się w głąb przedpokoju.

Lekki powiew wiatru rozwiał jej kasztanowe włosy, a cienka, jedwabna piżama przylgnęła do ciała, podkreślając krągłość niewielkich piersi i kształt ud.

Connor oniemiał z wrażenia. Mimo że przez całą drogę układał sobie w myślach przemowę, którą zamierzał wygłosić na powitanie, teraz nie był w stanie wykrztusić słowa. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu.

- To ty? - Phoebe zwilżyła językiem wyschnięte usta.
- A któżby inny? Jak się dzisiaj czujesz?
- Znakomicie - odparła, przestępując z nogi na nogę. - Przyjechałeś tylko po to, żeby zapytać o moje zdrowie?
- Nie.

- No to mam nadzieję, że masz naprawdę ważny powód, bo nie wiem, czy się orientujesz, że mam dziś pierwszy wolny dzień od ponad dwóch tygodni.

Raptem zdała sobie sprawę z frywolności swojego stroju, więc szybko schowała się za drzwi, tak że Connor mógł teraz widzieć jedynie jej twarz.

- Zapewniam cię, że nie jestem tutaj służbowo.

- Nie? - zapytała, czując że serce zaczyna jej walić jak oszalałe. - To czemu, w takim razie, zawdzięczam twoją wizytę?

- Myślałem, że zastanę cię w bardziej urodzinowym nastroju. Wszystkiego najlepszego!

A tak bardzo chciała zapomnieć o przypadającej dzisiaj rocznicy. Przecież Penny też obchodziłaby dziś urodziny. Od czterech lat właśnie tego dnia Phoebe najsilniej odczuwała żal po utracie siostry. Żal pomieszany z przemożnym poczuciem winy. Tymczasem teraz człowiek, przez którego nie przestawały nękać jej wyrzuty sumienia, stał sobie najzwyczajniej w świecie na jej progu.

- Nie lubię tego dnia. Staram się o nim nie myśleć. - Spojrzała na Connora z wyraźną niechęcią.

- Rozumiem. - Dopiero teraz dostrzegł jej zaczerwienione powieki. - Spałaś choć trochę w nocy?

Czyżby podobnie jak on nie zmrużyła do rana oka?

- A jeśli powiem, że tak, to zostawisz mnie wreszcie w spokoju?

- Przykro mi, ale to niemożliwe. - Popatrzył za siebie bezradnie. - Odesłałem taksówkę.

- Widzę, że jak zwykle myślisz o wszystkim.

- Staram się, jak umiem. - Connor tryskał dziś energią. - Czyżbym poczuł zapach kawy? - zapytał, wciągając przez nos powietrze.

- No dobrze... Wejdz - skapitulowała.

Widząc, jak bez wahania zdąża prosto do kuchni, Phoebe zorientowała się, że gość doskonale zna rozkład mieszkania.

- Kiedy byłem mały, przyjeżdżałem tu często na wakacje - wyjaśnił, dostrzegłszy jej zdziwione spojrzenie. - Naprawdę nie wiedziałaś, że to mój domek? - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Tutaj, gdzie teraz jesteśmy, dziadek miał gabinet, o którym ci wspominałem. Mieszkał z babcią w tej dużej willi obok. Mogłem się do niej wprowadzić, ale dla samotnego mężczyzny jest tam zdecydowanie za dużo miejsca. A po co mi pokoje dzieciinne, skoro nic nie wskazuje na to, żebym miał mieć dzieci...

Pomyślała, że gdyby tylko założył rodzinę, z pewnością byłby doskonałym ojcem, ale zachowała tę uwagę dla siebie.

- Dlatego zdecydowałem się wynająć dom dziadków, a starą przychodnię przerobiłem na mieszkanie służbowe.

- Nikt mi o tym nie mówił - zapewniła trochę nieprzytomnie, gdyż wyobraźnia podsuwała jej coraz to nowe obrazy, na których Connor spacerował wśród kwitnących róż po ogrodzie wspaniałej, wiktoriańskiej willi, w otoczeniu gromadki rumianych, roześmianych bobasów. Jeśli ożeni się z Ellen, pomyślała, wszystkie dzieci na pewno będą miały jasne włoski. Tylko czy ta jędza w ogóle nadaje się na matkę?

- Nieważne. Dobrze ci się tu mieszka? Skinęła głową.

- To świetnie. O ile pamiętam, poprzedni lokator miał jakieś problemy z ogrzewaniem.

- To znaczy, że przyjechałeś tutaj rozmawiać na temat kaloryferów? - Od stałego zaciskania szczęk zaczynały już boleć ją zęby. - A właściwie dlaczego twierdzisz, że nie będziesz miał dzieci? - wypaliła znienacka.

Pod wpływem jego badawczego spojrzenia policzki Phoebe oblały się gorącym rumieńcem.

- To znaczy... Czy Ellen...? - Z zażenowania najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię.

- A co, do diabła, Ellen ma z tym wspólnego?

- No wiesz, w waszym małym światku niektórych spraw po prostu nie da się ukryć - odparła z godnością, powstrzymując przemożną chęć ostrzeżenia go przed tą wyrachowaną jej zdaniem kobietą, po której nie powinien spodziewać się niczego dobrego.

- Myślisz, że słuchanie i powtarzanie plotek zaskarbi ci przyjaźń mieszkańców? - zapytał z wyraźną kpina w głosie.

- Jak śmiesz! - Poczuli się mocno urażona. - Po pierwsze, nie uważasz chyba, że powinnam zatykać uszy, żeby nie słyszeć, co mówią inni, a po drugie, skoro zdecydowałeś się wyjechać z Ellen na urlop, wnioski nasuwają się same.

- A jakie wnioski nasunęły się tobie?

- Że skoro nie chcesz, żeby inni wtykali nos w twoje życie, powinieneś poszukać sobie partnerki gdzieś dalej od domu. A poza tym to nie moja sprawa.

- Tak? A już wydawało mi się, że wszelkie moje osobiste związki są tajemnicą poliszynela.

Phoebe uniosła wysoko podbródek.

- Chciałam jedynie powiedzieć, że moim zdaniem stanowisz znakomity materiał na ojca - oznajmiła. - Ale ty nawet nie raczyłeś wysłuchać mnie do końca.

Po pełnej napięcia chwili odważyła się wreszcie spojrzeć mu w twarz.

- A jeśli nadal masz ochotę na kawę, to zaczekaj w pokoju. Zaraz ci ją przyniosę.

- Mam to traktować jako zaproszenie? - Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Niekoniecznie. Po prostu wolałabym, żebyś wyszedł z kuchni, bo przez cały czas mam wrażenie, że jak się poruszysz, to strącisz coś na ziemię i będę musiała za to płacić.

- Nie przejmuj się. Może zdołam przekonać właściciela, żeby darował ci ewentualne zniszczenia. Ale właściwie straciłem ochotę na kawę.

- Jak chcesz. Więc może wyjaśnisz mi wreszcie, po co przyszedłeś...

Popatrzyła na Connora badawczo. Czyżby cała swoboda, z jaką dotąd się zachowywał, była jedynie starannie wyreżyserowaną grą? Nagle zauważyła, że mięśnie jego twarzy drgają nerwowo, a szyja i kark napięte są do granic wytrzymałości.

- Masz jakieś plany na dzisiaj? - zapytał w końcu.

- Chciałabym się wyspać - odparła.

Odniosła wrażenie, że zamierzał powiedzieć coś innego, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- Z tym możesz poczekać - oświadczył nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Phoebe musiała przyznać, że jak na wspartego na kulach rekonwalescenta, wręcz kipi energią.

- Bo najpierw chciałbym podarować ci coś na urodziny.

- Dziękuję, ale nie chcę...

- Zobaczysz, że będziesz zadowolona. - W ogóle nie zwrócił uwagi na jej odmowę. - Już cztery lata czekam na odpowiednią okazję.

Tym razem ciekawość Phoebe wzięła górę nad rozsądkiem.

- Mam nadzieję, że to nie będzie kolejny skok ze spadochronem - roześmiała się, wracając pamięcią do pierwszych urodzin, jakie obchodziła w towarzystwie Connora.

- To znaczy, że nie zapomniałaś?

- Trudno zapomnieć o czymś, co skończyło się otwartym złamaniem podudzia, i to dokładnie w połowie sesji egzaminacyjnej - powiedziała, wspominając ze wzruszeniem

kilka tygodni, w czasie których Connor dbał o nią jak o dziecko i pomagał w nauce, tak że w końcu zdała wszystkie egzaminy śpiewająco.

- Trzeba było uważniej słuchać instruktora.

- Jak miałam go słuchać, kiedy przez cały czas umierałam ze strachu? Musisz przyznać, że trzeba być pozbawionym wyobraźni, żeby zafundować skok ze spadochronem komuś cierpiącemu na lęk wysokości.

- Wręcz przeciwnie. Czegoś takiego mógł dokonać jedynie człowiek o wyjątkowo bujnej wyobraźni i twórczym podejściu do życia.

- Akurat! - parsknęła, zastanawiając się przez chwilę, czy owo twórcze podejście obejmuje również sferę miłości.

- Ale mówiąc serio - poważny tym razem ton Connora wyrwał ją z zamyślenia - to był naprawdę wspaniały dzień, prawda? Oczywiście, dopóki nie wylądowałaś w szpitalu.

- Owszem. - Co więcej, pomyślała, spędzili wspólnie wiele równie niezapomnianych chwil, tyle że nie potrafiła wcześniej docenić ich znaczenia.

- Nie sądziłam, że po wczorajszej rozmowie będziesz chciał mi jeszcze coś ofiarować.

- Zawsze byłem wielkoduszny. Tym razem nie dała się sprowokować.

- Nie rozumiem, skąd ten pośpiech, skoro jak twierdzisz, twój prezent czeka na mnie już całe cztery lata.

- Mimo to nalegam, żebyś się zgodziła. Zrobisz to dla mnie? Proszę.

- Czyżbym nie miała wyboru?

Na dźwięk jej słów twarz Connora nagle przybrała dziwny, pozbawiony emocji wyraz.

- W tej kwestii akurat nie powinienem ci radzić, bo jak dotąd prawie każdy mój wybór kończył się katastrofą.

Phoebe szybko odwróciła wzrok. Znowu odniosła wrażenie, że chciał powiedzieć coś więcej, ale nie była pewna, czy chce go do końca wysłuchać.

- No dobrze. Ale mogę poświęcić ci najwyżej godzinę - zgodziła się, zdając sobie sprawę, że dalszy opór pozbawiony jest sensu. Prędzej czy później i tak będzie musiała mu ulec.

- Wspaniale - ucieszył się. - Tylko w takim razie chyba musisz się ubrać - dodał po chwili, zastanawiając się, jak by zareagowała, gdyby powiedział, że o niczym nie marzy w tej chwili bardziej niż o tym, by osobiście zdjąć z niej tę jedwabną piżamkę.

- Ale po co? - Nie mówił dotąd, żeby mieli gdzieś jechać.

- O nic nie pytaj, tylko zrób, o co cię proszę - polecił nienaturalnie zmienionym głosem, starając się ukryć własne, dość niecenzuralne myśli.

- Od kiedy to wydajesz mi rozkazy?

- Zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz. Phoebe szybko wzięła prysznic, narzuciła na siebie ubranie i usiadłszy przed toaletką, zaczęła rozczesywać mokre włosy. Ze wszystkich sił starała się opanować panikę.

- Przyniosłem ci kawę.

Przestraszona, zerwała się na równe nogi, strącając przy tym na podłogę kilka słoiczków z kosmetykami.

- A gdzie są twoje kule? - krzyknęła, choć tak naprawdę mało ją w tej chwili obchodziło, co się z nimi stało. Najchętniej rzuciłaby się mu w ramiona i zapomniała o bożym świecie.

- Nie obawiaj się. Nabrałem takiej wprawy w skakaniu na jednej nodze, że nie uroniłem ani jednej kropli - oznajmił z nieukrywaną dumą.

Odbierając od Connora filiżankę drżącymi z przejęcia dłońmi, Phoebe pomyślała, że jeśli natychmiast nie weźmie się w garść, to na dywanie zaraz pojawią się ciemnobrunatne

plamy. Najwyższy czas, by przypomniła sobie, że Connor należał do Penny i że już nigdy, ale to nigdy nie wolno jej zdradzić własnej siostry.

- Dziękuję - powiedziała, wdychając w nozdrza aromat kawy zmieszany z zapachem wody kolońskiej stojącego obok Connora.

Po chwili poczuła tak gwałtowny zawrót głowy, że odruchowo poszukała ręką oparcia. Ale kiedy jej dłoń natrafiła na męski tors, odskoczyła z krzykiem jak oparzona.

- Przepraszam...

- Nie masz za co. Było mi bardzo przyjemnie.

- Sądziłam, że się spieszysz - zauważyła już przytomniej.

- Owszem.

- W takim razie wyjdź stąd. Zaraz będę gotowa. Tym razem to głos Phoebe zabrzmiał stanowczo. Ale kiedy Connor posłusznie wykonał polecenie, przysiadła na brzegu łóżka z pełnym rozczarowania westchnieniem.

- Dokąd mam jechać? - zapytała, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Do mnie.

Zmarszczyła brwi. Perspektywa przebywania sam na sam z Connorem w jego domu bynajmniej jej nie ucieszyła.

- Czyżbyś zapomniała, którą jechać?

- Skądże! - parsknęła. - Zapewniam cię, że mam doskonały zmysł orientacji. Zastanawiałam się tylko, dlaczego nie przywiozłeś tego prezentu ze sobą.

- Bo ominęłaby mnie przyjemność jazdy w twoim towarzystwie - odparł z zuchwałym uśmiechem.

- Uważaj, bo jeszcze mogę zawrócić.

Była tak zdenerwowana, że kiedy kilka minut później dojechali do skrzyżowania, kompletnie nie wiedziała, w którą stronę skręcić. Wołałaby jednak nadłożyć dwadzieścia kilometrów, niż zapytać Connora o drogę.

- Dobry wybór - zauważył, kiedy w końcu włączyła lewy kierunkowskaz.

Udała, że nie usłyszała nutki rozbawienia w jego głosie.

Niebawem znaleźli się na miejscu. Przez ostatnich kilka dni Connor nabrał takiej wprawy w operowaniu kulami, że tym razem nie potrzebował pomocy przy wysiadaniu.

- Chodźmy tędy.

Zdziwiła się, że nie poprowadził jej do domu, tylko wskazał na ścieżkę prowadzącą pod kamienną arkadą na tyły budynku. Widok, jaki po chwili ukazał się oczom Phoebe, przeszedł jej oczekiwania.

Na pozór dziki, acz zaprojektowany z największą starannością ogród opadał łagodnie ku wijącej się malowniczo rzeczce. Mimo zimowej pory imponował bogactwem roślinności. Pomyślała, że Connor albo posiada zamiłowanie do ogrodnictwa, o które wcześniej go nie podejrzewała, albo wynajął do pomocy kogoś z ogromnym talentem.

- Jedno i drugie...

- Słucham? - Popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Lubię sadzić rośliny i patrzeć, jak rosną, ale jednocześnie zatrudniam na stałe ogrodnika.

- Skąd wiedziałeś... - Urwała w połowie zdania. Przecież Connor zawsze potrafił czytać w jej myślach. - Dokąd mnie prowadzisz?

- Jesteśmy na miejscu.

Stali u stóp kamiennych schodków, przed osłoniętym od wiatru, wysadzonym krzewami róż klombem.

- Nie rozumiem.

- No to popatrz uważniej - odrzekł i oparłszy się plecami o ścianę zgrabnej, drewnianej altanki, odstawił na bok kule.

- Posłuchaj, nie mam dziś szczególnej ochoty na zabawę w zimno - ciepło.

Zaczynała się już niecierpliwić. Po co w ogóle dałam się tu przyciągnąć, jęknęła w duchu, pochylając się nad przytwierdzoną do różanej gałązki plakietką.

- Mój Boże! - Sięgnęła po kolejną etykietkę i znowu przeczytała opis. Potem po następną.

Na wszystkich napisane było to samo.

- Wyhodowałeś nową odmianę róży i nazwałeś ją imieniem Penny? - zapytała łamiącym się ze wzruszenia głosem.

Widok łzy spływającej po policzku Phoebe sprawił, że Connor też poczuł dławienie w gardle.

- Uznałem, że powinienem to zrobić.

Była tak oczarowana tym odkryciem, że nie zwróciła uwagi na napięcie, z jakim Connor wypowiedział te słowa.

- Słucham?

- Te róże mają blad różowe kwiaty z delikatnym białawym nalotem i pachną tak silnie jak dawne odmiany. Bardzo mi zależało właśnie na takim zapachu. W lecie, kiedy krzewy są w pełnym rozkwicie, ich woń czuć nawet w domu. - Odwrócił głowę w kierunku wzniesionego z kamienia budynku. - Pokażę ci je na zdjęciach. Kilka sadzonek przygotowałem specjalnie dla ciebie.

- Na razie nie miałabym gdzie ich zasadzić.

- Więc będę je hodował, aż wreszcie zapuścisz gdzieś korzenie.

Phoebe tylko skinęła głową. Myśl o tym, że taka chwila może nigdy nie nastąpić, podziałała na nią przygnębiająco. Wyobraziła sobie, jak do końca życia przyjmuje zastępstwa w podmiejskich ośrodkach i tuła się po służbowych mieszkaniach, bez własnego miejsca na ziemi.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że pracowałaś w Afryce?

- zapytał Connor cicho.

- Naprawdę nie wspominałam ci o tym?

- Nie.
- Pewnie nie było okazji.
- Owszem, była.

Ze wszystkich sił próbowała zachować spokój.

- Posłuchaj... Zanim cokolwiek powiesz - wolno cedziła słowa - chciałam, żebyś zrozumiał, że nie była to forma pokuty. Pobyt wśród uchodźców był dla mnie niesamowitym doświadczeniem i ani przez chwilę nie żałowałam, że zdecydowałam się tam pojechać.

- Możliwe, ale dlaczego chciałaś to przede mną ukryć? Przecież pytałem cię wprost, co robiłaś przez ostatnie lata.

- Może nie chciałam burzyć tak misternego psychologicznego portretu, który sobie wypracowałeś na mój temat. A poza tym sądziłam, że zanim zaproponowałeś mi przystąpienie do spółki, przeczytałeś mój życiorys.

- A po co? Nie rozumiem, dlaczego tak uporczywie unikałaś rozmowy na ten temat. Gdyby nie Will, pewnie nigdy bym się nie dowiedział.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miałaby się teraz przyznać, że obawiała się zwierzeń, że tak bardzo starała się trzymać od niego na odległość?

- Nie sądziłam, że cię to zainteresuje - odparła w końcu ze wzruszeniem ramion.

Mimo że dzieliło ich dobre kilka kroków, usłyszała, jak Connor gwałtownie nabiera powietrza w płuca.

- Interesuje mnie wszystko, co cię dotyczy - oświadczył z przejęciem. - Przecież mogli cię tam zabić, a ja bym nawet się nie dowiedział.

- Nie przesadzaj. Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo.

No, prawie żadne, dodała w duchu, wróciwszy myślami do chwili, kiedy jadąca w tym samym konwoju co ona ciężarówka wjechała na minę i wyleciała w powietrze.

- Tak twierdzisz? - W głosie Conora zabrzmiał gniew. - To dlaczego praktycznie codziennie możesz przeczytać o zabójstwach albo porwaniach ludzi zatrudnionych przez takie same organizacje jak twoja?

- Ale przecież wróciłam cała i zdrowa. A poza tym, nawet gdyby mi się coś przytrafiło, nie zniknęłabym bez wieści, bo mieli zawiadomić moją matkę.

- I to załatwiłoby sprawę, tak? - zaśmiał się z goryczą. Tym razem i Phoebe poniosły nerwy.

- Nie waż się mówić do mnie tym tonem! - zawołała.

- Najwyższy czas, żeby ktoś zaczął. Nie jestem w stanie pojąć, jakim cudem Magda zgodziła się na twój wyjazd!

Uniosła wysoko głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Po pierwsze, już od dawna mogę robić co chcę, nie prosząc nikogo o pozwolenie. A po drugie, oboje wiemy, że moją matkę guzik obchodzi, co się ze mną dzieje.

- Ale nie mnie.

- To już twoja sprawa!

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem i nagle wzajemny gniew ustąpił miejsca całkiem innym emocjom, których Phoebe wolała nawet nie nazywać po imieniu. Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, próbując wyobrazić sobie zapach róż odmiany Penny Miller. Może wspomnienie siostry pozwoli jej oprzeć się tej sile przyciągania z jego strony.

- Dobrze się czujesz? Odgarnęła włosy z czoła.

- Na tyle, na ile można się dobrze czuć, rozmawiając z kimś, do kogo w ogóle nic nie dociera. Próbuję ci wytłumaczyć, że przecież ktoś musi tam pracować. Kto, według ciebie, powinien to robić?

- Nic mnie to nie obchodzi, pod warunkiem, że to nie ty.

- Jesteś tak beznadziejny, że brak mi sił. Zaciśnęła dłonie w pięści, nie bacząc na to, że wciąż trzyma w dłoni różany pęd. Ostry kolec wbił się jej boleśnie w kciuk.

- Uważaj!

- Za późno. - Phoebe podniosła palec do ust i nagle strumienie łez popłynęły jej z oczu. Tak bardzo pragnęła poszukać pocieszenia w ramionach Connora. - Przepraszam, to przez te urodziny. Zawsze z Pen...

- Wiem.

Nawet nie potrafiła przypomnieć sobie, jak to się stało, że nagle znalazła się tuż przy nim, z twarzą wtuloną w jego pierś. Przez cały czas, kiedy jej ciałem wstrząsało spazmatyczne łkanie, Connor masował ją delikatnie po plecach i szeptem dodawał otuchy. Minęło chyba kilka minut, zanim zebrała dość sił, by wbrew samej sobie wyzwolić się z kojącego uścisku.

- Wybacz. - Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

- Zachowałam się jak idiotka.

- Trudno zaprzeczyć.

- No wiesz! Choć raz mógłbyś nie być aż tak szczery - zachnęła się. Jednak dostrzegłszy serdeczny uśmiech, z jakim się jej przyglądał, rozchmurzyła się zupełnie.

- Twój prezent jest zachwycający. Dziękuję.

- Podoba ci się? Więc może i ja dostanę coś od ciebie? - powiedział, wskazując palcem miejsce na policzku.

- Co?

- Jak to co? Buziaka.

Phoebe miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Czyżby sobie z niej kpił? Wyraz twarzy Connora rozwiał jej wątpliwości.

- Nie zauważyłam żadnej metki z ceną na łydyżce - spróbowała zażartować.

- No cóż. Chyba łudziłem się, sądząc, że zechcesz mi podziękować w bardziej spontaniczny sposób. Ale jak widzę, żywiołowość nie leży w twojej naturze.

Zdawała sobie sprawę, że Connor usiłuje ją sprowokować, ale w tej chwili nie miało to dla niej szczególnego znaczenia. Raptem postanowiła udowodnić samej sobie, że potrafi zachowywać się w jego obecności normalnie. Cóż w końcu znaczy jeden głupi całus!

Wytarta ręce o dzinsy i wspiąwszy się na palce, ujęła w dłonie jego twarz. Connor wyliczył wszystko co do ułamka sekundy, bo w ostatniej chwili wykonał niewielki ruch głową, tak że zanim się zorientowała, pocałowała go prosto w usta. Odkoczyła jak oparzona.

- Zrobiłeś to specjalnie! - zawołała.

Świat wokół niej wirował w jakimś nieprawdopodobnie szalonym tempie, a na wargach miała dokładnie ten sam przerażająco cudowny smak co przed czterema laty. Nic się nie zmieniło. Nawet to, że Connor z pewnością miał znów przed oczami jej siostrę.

Nawet nie próbował się wypierać.

- Owszem, ale przyznasz, że było to całkiem podniecające.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- O tym, że serce wali ci teraz jak młot - odparł, przykładając dłoń do jej piersi. - I o tym, że ledwie się trzymasz na nogach.

Phoebe z wysiłkiem opanowała drżenie kolan i cofnęła się chwiejnie o krok.

- Mógłbyś darować sobie te gierki.

- Z największą przyjemnością. O ile o mnie chodzi, im szybciej przestaniemy udawać, tym lepiej - oznajmił i utkwiał w jej twarzy natarczywy wzrok.

- Co się z tobą dzieje? Czyżbyś nie był w stanie przepuścić żadnej kobiecie, jaka znajdzie się w zasięgu twojego wzroku?

Twarz Connora wykrzywił grymas zniecierpliwienia.

- Skoro o to pytasz - powiedział, cedząc słowa - to się dowiedz, że nie sypiam z Ellen i że od śmierci Penny nie byłem w łóżku z żadną kobietą.

Phoebe zaniemówiła. Przełknąwszy ślinę, pokiwała głową ze smutkiem. Nagle zdała sobie sprawę, jak absurdalne były jej podejrzenia. Przecież to jasne, że nikt nie mógł zastąpić mu Penny. Tak bardzo się kochali. Nic dziwnego, że mając przed oczami kobietę wyglądającą identycznie jak uwielbiana żona, odczuwa przypływ pożądania.

- Nic by z tego nie wyszło - rzekła spokojnie.

- Co masz na myśli?

- Ale nie mam do ciebie żalu.

- To dobrze, tyle że nadal nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Penny odeszła na zawsze. Może teraz wydaje ci się, że mogłabym zająć jej miejsce... Ale rzeczywistości nie da się oszukać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Popatrzył na nią z tak zdumioną miną, jakby nagle pojawiło się przed nim jakieś dziwadło.

- Szkoda. Ale chyba nie masz do mnie pretensji o to, że próbowałem cię poderwać. To byłby całkiem wygodny układ. Nawet nie musiałbym zamykać oczu, żeby wydawało mi się, że kocham się ze świętej pamięci małżonką.

Phoebe czuła dławienie w gardle, ale czy mogła mieć mu za złe, że próbuje z niej szydzić?

- Zdenerwowałam cię, tak?

- Doprawdy, cóż za niebywała spostrzegawczość.

- Wybacz mi, Con, ale naprawdę nie chciałam cię urazić.

- Wciąż walczyła ze sobą, by nie wyznać mu prawdy. - Ale co według ciebie powinnam była pomyśleć? Jak miałam zrozumieć twoje zachowanie? Myślisz, że jest mi przyjemnie, kiedy bez przerwy bierzesz mnie za Penny? I nie zamierzam korzystać ze schedy po własnej siostrze.

- To znaczy, że kiedy cię dotykam, nie robi to na tobie żadnego wrażenia? - zapytał, wykrzywiwszy z powątpiewaniem usta.

- Tego nie powiedziałam - syknęła przez zęby.

- Czyli nawet twoja hipokryzja ma swoje granice.

- Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Proszę bardzo. Po cholere opowiadasz te sentymentalne bajeczki o urodzinach i o tym, jak bardzo brak ci dziś siostry, kiedy oboje wiemy, że przez ostatnie dwa lata jej życia korzystałaś z każdego pretekstu, żeby się z nią nie spotkać.

Connor doskonale wiedział, że sprawia jej ból, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że tylko w tak brutalny sposób zdoła skruszyć mur, za jakim Phoebe usiłuje się przed nim ukryć.

- To nieprawda - zaprotestowała nienaturalnie chrapliwym głosem.

Czyż mogła przyznać mu rację, wytłumaczyć, że nie była w stanie patrzeć na ich miłość, że w czasie każdej wizyty przeżywała takie katusze, że w końcu rzeczywiście przestała ich odwiedzać?

Widząc, że Connor nie daje wiary jej słowom, tylko przygląda się jej z powątpiewaniem, Phoebe postanowiła zmienić strategię.

- Poza tym miałam swoje powody.

- To znaczy?

- Pozwól, że je zatrzymam dla siebie - odparła z godnością.

- Właściwie nie musisz nic mówić. I tak się domyślam.

Poczuła, że ogarnia ją panika. Czyżby odkrył największą tajemnicę jej życia?

- Doprawdy? - Za nic nie mogła dopuścić go teraz do głosu. - Wybacz, ale jakoś nie mam dziś ochoty na zabawę w zgadywanki.

- A jeszcze mniejszą na to, żeby usłyszeć prawdę. - Ze ściśniętym sercem zadał jej kolejny cios. - W porządku, Phoebe. Jak sobie życzysz. Ale na razie chodźmy do domu, bo trzęsiesz się z zimna.

Jej ciałem faktycznie wstrząsały dreszcze, ale z aurą nie miały one tym razem nic wspólnego.

- Chciałabym wrócić do siebie - jęknęła żałośnie, karcąc się w duchu za własną słabość. Niepotrzebnie się nad sobą użala, przecież z miłości się nie umiera.

- Nie mogę cię oczywiście zatrzymać, ale wydaje mi się, że przynajmniej powinnaś opatrzyć ten palec. - Nie czekając na jej odpowiedź, ruszył w kierunku domu.

- To tylko ukłucie - bąknęła, ale posłusznie podreptała w ślad za nim, zastanawiając się, czy kiedykolwiek znajdzie w sobie dość sił, by mu się postawić.

Connor wprowadził ją przez balkonowe drzwi do obszernego pokoju o wysokim, spadzistym sklepieniu. Uwagę Phoebe od razu zwróciło imponujące belkowanie sufitu i kuta balustrada zabezpieczająca schody wiodące do znajdującej się na antresoli biblioteki. Tylko jedną ścianę zdobiła pociemniała z wiekiem, wielobarwna tkanina. Na innych, podobnie jak na posadzce, pozostawiono wyraźną fakturę kamienia, z którego wzniesiony został dom.

- Jak tu pięknie!

Z zachwytem rozejrzała się wokół.

Mieszkanie, które kupili w Londynie zaraz po ślubie, odzwierciedlało upodobania Penny. Tymczasem tutaj wszędzie widać było gust Connora.

- Podoba ci się? - zapytał, dorzucając drewna do kominka.

- Bardzo.

- Dlaczego nie usiądziesz?

Phoebe chyba nigdy nie czuła się tak skrepowana, szczególnie że Connor ani na chwilę nie spuszczał z niej swych ciemnoszafirowych oczu.

- Nikt ci nie mówił, że to nieładnie się gapić? - zapytała, przysiadłszy na rozłożystej, obitej skórą kanapie.

- Sądziłem, że piękne kobiety są do tego przyzwyczajone.

- Ale nie ja. Może dlatego, że nie jestem zbyt piękna - odparła.

Wiele by dała, by zapaść się teraz w te miękkie poduchy tak głęboko, żeby w ogóle nie mógł jej widzieć.

Myślała, że Connor zaraz zacznie oponować, ale na szczęście tym razem oszczędził jej upokorzenia. Choć z drugiej strony, pomyślała, całkiem przyjemnie byłoby usłyszeć, że mu się podoba.

- Zawsze uważałem cię za osobę praktyczną.

- I słusznie. - To nieoczekiwane stwierdzenie Connora kazało Phoebe podwoić czujność.

- W takim razie dlaczego nie chcesz przystąpić do spółki?
- O, jak widzę, teraz zamierzasz zacząć mnie atakować z drugiej flanki.

- Posłuchaj. Ta propozycja nie ma nic wspólnego z kwestiami natury osobistej. - Powiedział z takim przekonaniem, że prawie uwierzyła w szczerą jego intencję.

- Gdybyś na chwilę zapomniała o tamtych sprawach, zrozumiałabyś, że lepszej pracy nigdzie nie znajdziesz.

Zapomnieć? Dobre sobie. Może Connor potrafi oddzielić te dwie sfery z dokładnością chirurga, ale ona niestety nie.

- A skąd właściwie wiesz, jakiej pracy szukam?

- Przecież cię znam.

Uderzyła ją pewność, z jaką wypowiedział te słowa.

- Nie, mój drogi. Owszem, kiedyś mnie znałeś, ale od tamtej pory wiele się zmieniło.

Ty też się zmieniłeś, dodała w duchu, patrząc na leżący na stoliku tomik wierszy Johna Donne'a. Nie przypominała sobie, by Connor kiedykolwiek gustował w poezji.

- W tym czasie mogłam przecież zakochać się, wyjść za mąż i urodzić dzieci.

Thierry, francuski lekarz, którego poznała w Afryce, nigdy nie ukrywał, że nader chętnie dzieliłby z nią życie. Lecz mimo że Phoebe zawsze twardo stąpała po ziemi, ani przez chwilę nie brała pod uwagę możliwości małżeństwa z rozsądkiem.

- Ale tego nie zrobiłaś, prawda? - zapytał dziwnie ostrym tonem.

- A widzisz tu jakąś obrączkę? - Wyciągnęła przed siebie szczupłą, wąską dłoń.

- Nie - odetchnął. - I sądzę, że nigdy jej nie nosiłaś. Chyba nie należysz do kobiet, które zdejmują dowód zawarcia związku.

- Oczywiście, że nie.

- Sama widzisz. - Rysy twarzy znowu mu złagodniały. - Aż tak bardzo się nie zmieniłaś. Nadal jesteś niepoprawną romantyczką.

Przez krótką chwilę Phoebe wydawało się, że tym razem przejrzał ją na wylot. Nerwowo oblizła wargi, czym bezwiednie poruszyła go jeszcze bardziej. Connor aż bał się pomyśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby kiedyś zaczęła go świadomie kokietować.

- Wiem, że potworności, jakich byłaś świadkiem, musiały odcisnąć na tobie trwałe ślady. - Usiadł na kanapie i delikatnie pogładził ją po policzku. - Ale w głębi duszy nadal jesteś moją małą Phoebe.

Moją Phoebe? Zdrętwiała. Ton głosu Connora wykluczał jakąkolwiek pomyłkę. Wcale nie myślał o niej jak o przyjaciółce z dawnych lat. Czują, że podobnie jak w niej, i w nim płonie w tej chwili ogień pożądania.

- Przecież ci się u nas podoba. - Jakimś cudem zdołał się opanować. - Wszyscy uważają, że doskonale do nas pasujesz. To naprawdę bardzo ważne, że potrafisz pracować w zespole. Poza tym przychodnia stale się rozwija. Jeśli wejdiesz do spółki, będziesz mogła zacząć się specjalizować. Will mówił mi, że wysunęłaś propozycję utworzenia specjalnego ambulatorium dla astmatyków.

- To żadna propozycja. Po prostu pomyślałam, że takie rozwiązanie wszystkim ułatwiłoby pracę - wtrąciła, nie mogąc się nadziwić łatwości, z jaką Connor zmieniał temat.

- Nigdzie nie znajdziesz lepszego wyposażenia niż u nas...

- Nie! - przerwała mu w pół zdania. - Nigdy tu nie zostanę! Nawet gdybyś zaproponował mi przeprowadzenie operacji na otwartym sercu.

Wciąż nie pojmowała, dlaczego Connor upiera się, by przyjęła ich ofertę. Znalezienie chętnego do współpracy z tak

świetnie prosperującą przychodnią z pewnością nie stanowiło wielkiego problemu.

- Zresztą dobrze wiesz, że nie możemy razem pracować - dodała, by postawić kropkę nad i.

- No to wracamy do punktu wyjścia - jęknął. - Chcesz powiedzieć, że dręczy cię poczucie winy, tak?

- Właśnie! - rzekła podniesionym głosem. - Przykro mi, że zaczynam cię nudzić, ale tak, wciąż mam wyrzuty sumienia. Zdradziłam własną siostrę. Może dla ciebie niewiele to znaczy, ale...

Teraz i jego poniosło.

- Niewiele znaczy?! Dla mnie?! - W jego oczach pojawiły się groźne błyski.

Nagle chwycił ją za ramiona i Phoebe poczuła się jak mała laleczka z plasteliny. Pochylił się i spojrzał jej prosto w twarz.

- Myślisz, że chodzi o tamten pocałunek? Mylisz się. Nawet nie domyślasz się, co było przedtem.

Miała wrażenie, że nagle ktoś wylał na nią kubek lodowatej wody.

- Zdradzałeś Penny? - wykrztusiła z trudem. Connor zaśmiał się drwiąco.

- Jeśli grzeszne myśli można nazwać zdradą, to tak!

- Nagle jakby zaczął żałować własnych słów. - Lepiej skończmy ten temat. Naprawdę nie ma o czym mówić.

- Podniósł się z kanapy i sięgnął po kule.

Co to, to nie! Czy naprawdę wydaje mu się, że może aż tak grać jej na nerwach? Kazać gubić się w domysłach?

- Nie odwracaj się do mnie plecami, kiedy do Ciebie mówię! - krzyknęła, chwytając go za ramię.

Wyrwał się, ale ona nie dała za wygraną. Zerwawszy się na równe nogi, zastąpiła mu drogę.

- Słucham cię! Co chciałeś powiedzieć? - Stała przed nim wyprostowana, z rękami wspartymi o biodra.

- Daj spokój.

- Nie! - upierała się, choć jakiś wewnętrzny głos ostrzegał ją, że może tego żałować. Wyszarpała mu z dłoni kule.

- Co ty wyrabiasz?

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie wyjaśnisz mi, o co chodzi.

Oczy Connora pociemniały z gniewu.

- Nie zachowuj się jak dziecko.

Nie odezwała się, tylko uśmiechała wyzywająco. Dopiero sporo później zdała sobie sprawę, że to właśnie jej prowokujące zachowanie sprawiło, że w końcu stracił nad sobą panowanie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - jęknął, opadając bezsilnie na fotel.

Mimo że minęło tyle lat, wciąż miał w pamięci tę noc, kiedy nie całkiem jeszcze rozbudzony, wziął w ramiona śpiącą obok niego kobietę i kochał się z nią tak, jakby była tą dziewczyną ze snu.

- Kochając się z własną żoną, w zapamiętaniu szeptałem jej do ucha twoje imię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Phoebe oderwała w końcu wzrok od twarzy Connora i utkwiała spojrzenie w podłódze.

- To obrzydliwe - wykrztusiła po chwili.

W odpowiedzi tylko westchnął z rezygnacją. Teraz, kiedy nieco ochłonął, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

Tymczasem Phoebe, kompletnie zdruzgotana, siedziała na kamiennej posadzce, próbując wczuć się w położenie siostry. Doświadczywszy wielu przykrości ze strony mężczyzn, którzy przecież też często mylili ją z bliźniaczką, wiedziała lepiej niż ktokolwiek, jakim upokorzeniem musiał być dla Penny na pozór szczęśliwy związek z Connorem. Czyż to nie z obawy przed podobnym poniżeniem sama od lat trzymała się od niego z daleka?

- Co cię tak zszokowało, Phoebe? Myślałaś, że tylko tobie przytrafiają się erotyczne fantazje?

Przez chwilę miała nadzieję, że to tylko koszmarne sen. Wciąż nie mogła uwierzyć, że właśnie Connor okazał się do tego stopnia zepsuty. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czy to, co czuje, to przede wszystkim gniew, czy potworne rozczarowanie.

- Nie sądzę, żeby akurat moje pragnienia miały tu cokolwiek do rzeczy. Jak na jeden dzień mam aż za dużo twoich wynurzeń.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się gorzko.

W Phoebe zagotowała się krew. Nawet jej tolerancja miała swoje granice.

- Zdarzało nam się parę razy poznać jakichś perwertów, którzy mieli ochotę na seks z bliźniaczkami, ale nawet nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co poczuła Penny, kiedy dowiedziała się, że równie obleśny typ został jej mężem!

Minęła dłuższa chwila, zanim Connor zrozumiał znaczenie jej słów.

- Być może masz rację, że jestem kompletnym zwyrodnialcem - rzekł z powagą - ale wierz mi, że nigdy w życiu nie pociągała mnie więcej niż jedna partnerka. Mam bardzo tradycyjne zapatrywania w tej kwestii.

- Ale przecież przyznałeś się...

- Wyznałem ci tylko, że niechcący wymieniłem twoje imię, kiedy kochałem się z żoną. A to dlatego, że ilekroć dochodziło między nami do zbliżeń, zawsze myślałem o tobie. Między mną a Penny nie było miłości. Kochałem się w tobie.

Nie bez ulgi zauważył, że Phoebe nareszcie zrozumiała, co stara się jej wyjaśnić.

- Mój Boże! - Myśli wirowały jej w głowie jak oszalałe. - Ale przecież byliście tacy szczęśliwi. - Nadal próbowała ratować hołubiony od lat wizerunek udanego małżeństwa siostry.

- Może przez pierwszy tydzień. Potem wszystko się popsuło, a ty byłaś chyba jedyną osobą, którą nie potrafiła tego dostrzec.

- Czy chcesz przez to powiedzieć...

- Że wziąłem za żonę nie tę siostrę, którą kochałem. Owszem. Myślałem, że już ci to wyjaśniłem.

- Nie mów nic więcej, proszę. - Spojrzała na niego błagalnie. - Nie chcę tego słuchać.

- Ale dlaczego, skoro to prawda? - Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie. Czuł, że musi opowiedzieć jej o wszystkim do końca.

- Jak mogłeś? - Usta Phoebe drżały tak, jakby miała się zaraz rozpląkać.

- Przecież nie zrobiłem tego naumyślnie. - Nawet nie próbował szukać usprawiedliwienia. - A poza tym, domyślałem się, że odwzajemniasz moje uczucia.

- Nieprawda!

- Nie? - Jej stanowczy protest najwyraźniej nie wywarł na nim większego wrażenia. - To dlaczego od nas wychodziłaś, ledwie wracałem do domu? Dlaczego zawsze unikałaś mojego wzroku, nigdy nie chciałaś zostać ze mną sam na sam?

- Musisz przyznać, że zważywszy na to, co się wydarzyło, kiedy ten jeden raz zostaliśmy sami, zachowywałam się całkiem rozsądnie.

- Nie wydarzyło się nic, czego oboje byśmy nie chcieli. I wcale się tego nie wstydę.

- Domyślałam się, że właśnie dlatego kazałeś mi się wynosić. - Nie musiała nawet zamykać oczu, żeby przypomnieć sobie odrazę, z jaką wtedy na nią spojrział.

Connor zmarszczył brwi.

- Potrzebowałem czasu, bo najpierw musiałem sam ze sobą dojść do ładu.

Właściwie przestało ją interesować, co miał do powiedzenia. Siedziała skulona na podłodze i z rozpaczą potrząsała głową.

- Tak mi wstyd z powodu tego, co czuję... co czułam. Robiłam wszystko, żeby się nie dowiedziała. Wyobrażasz sobie, jaki przeżyłaby szok, gdyby domyśliła się, jak bardzo zawiodłam jej zaufanie? - Mogła się teraz tylko pocieszać, że siostra do końca pozostała nieświadoma jej kłamstwa.

- I co? Pewnie wydaje ci się, że powinienem po - chwalić cię teraz za tak wspaniałomyślną postawę?

- Co ty w ogóle rozumiesz? - O mało nie rzuciła się na niego z pięściami.

- Z pewnością nie tyle co ty. A tak w ogóle, to dziwi mnie, że dotąd nie zauważyłem, jak lubisz się nad sobą użalać.

- A mnie najbardziej dziwi, że okazałam się tak pozbawiona gustu. Co ja w tobie widziałam? Całe szczęście, że Penny nie odgadła, jaka ze mnie kretyńka.

- Odgadła.

- Jak to?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to właśnie od niej usłyszałem, że się we mnie kochasz.

Było mu naprawdę przykro, że musiał zadać Phoebe aż tyle bólu, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że tylko wyznanie całej prawdy może naprawić ich stosunki.

Penny pod wieloma względami górowała nad siostrą. Lepiej gotowała, utrzymywała w domu porządek i potrafiła ślicznie śpiewać. Tyle że żadna z tych zalet nie sprawiała mu radości.

Na początku nawet nie zauważył, że coś jest nie tak z ich małżeństwem. Nawet kiedy żona zagroziła, że jeśli jeszcze raz usłyszy, że Phoebe robi coś lepiej, to go wyrzuci z domu, myślał, że się po prostu wygłupia. Później ani on, ani Penny nie mieli już ochoty na żarty. Zaczęły się awantury i wzajemne oskarżenia. Aż w końcu oboje popadli w dziwny rodzaj apatii. Dopiero wtedy Connor raczył wysłuchać, co żona już wcześniej starała się mu powiedzieć.

- Nie możesz dłużej chować głowy w piasek. Ożeniłeś się z niewłaściwą siostrą. Ale wszystko jeszcze można naprawić.

- Czyżby? - Wątpił, by znalazłszy się na miejscu Penny, kiedykolwiek podzielił jej spokój.

- Nie martw się, - Żona poklepała go wtedy po ramieniu. - Obiecuję, że przy najbliższej okazji z nią porozmawiam. Zbyt długo już wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi.

- Przepraszam. Naprawdę nie chciałem, żebyś przeze mnie cierpiała.

- Wiem. Pociesza mnie tylko świadomość, że to ja zawsze mocniej dawałam ci się we znaki niż ty mnie - oświadczyła z wdziękiem.

Jednak zanim Penny zdołała spełnić swoją obietnicę, pociąg ekspresowy, którym wracała do domu, zderzył się z

wyładowanym ciężkim sprzętem składem towarowym. Zginęła na miejscu.

- Nie wierzę...

Phoebe pocierała dłonią obolałą głowę. W głębi duszy wiedziała jednak, że Connor nie kłamie.

- Zastanów się. Nikt nie znał cię równie dobrze jak Penny. Rozmawialiśmy na ten temat.

- Jak to „rozmawialiście”?

- No, może nie od razu. Ale kiedy zrozumiałem, że powinienem jej wysłuchać, ustaliliśmy, że najlepiej będzie się rozstać.

- Zamierzaliście wziąć rozwód? - szepnęła. A mnie się wydawało, westchnęła w duchu, że tylko ja mam coś do ukrycia. - Przeze mnie?

- Penny też uważała, że sama jest wszystkiemu winna. Zaczynam podejrzewać, że to u was rodzinne.

- Jak to?

- O ile wiem, to od początku podejrzewała, że coś nas łączy, ale doszła do wniosku, że jakoś przebolejesz tę stratę.

- Wyszła za ciebie, mimo że wiedziała, że...

- Że mnie kochasz? - Connor nie pozwolił jej skończyć zdania.

- Chyba trochę przesadziłeś. Nie twierdzę, że mi się nie podobałeś, ale stąd jeszcze daleka droga do zakochania.

- Dzięki za przypomnienie, ale wierz mi, że znam różnicę między seksem a miłością.

Phoebe kręciła z niedowierzaniem głową. Wciąż była daleka od kapitulacji, ale Connor również nie zamierzał dać za wygraną.

- Posłuchaj. Przez dwa lata dzieliłem mieszkanie z dziewczyną, o której śniłem po nocach. Tyle że ona przez cały ten czas traktowała mnie tylko jak brata.

- Ale...

- Co prawda kilka razy - ciągnął z coraz większym trudem, bo widok drżących ust Phoebe nie dawał mu spokoju - coś między nami zaiskrzyło, ale dziewczyna zdawała się tego nie zauważać. Czasem było to przelotne muśnięcie dłoni, innym razem nagłe przyspieszenie oddechu. Pamiętasz tamte chwile, prawda?

Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Na samo wspomnienie tłącego się wówczas w jej sercu nieśmiałego uczucia zalała się łzami. Tylko siebie mogła teraz obwiniać za to, że zbyt późno uświadomiła sobie, że łączyło ich coś więcej niż przyjaźń.

- Gdybym nie był tak dobrze ułożonym chłopczykiem, pewnie wykonałbym jakiś odważniejszy ruch. A że wydawało mi się, że światły, nowoczesny mężczyzna powinien umieć kontrolować emocje, więc tylko raz po raz brałem zimny prysznic. - Zaśmiał się z goryczą. - Aż tu nagle pojawiła się druga dziewczyna, która wyglądała dokładnie tak samo jak ta, o której śniłem po nocach, a do tego nie patrzyła na mnie tak, jakbym był parą wygodnych trampek. Od razu zauważyłem, że ma na mnie ochotę. A ja miałem za sobą dwa lata skrywanego pożądania.

Przyłożył dłoń do mokrego od łez policzka Phoebe.

- Więc sama widzisz, że nie tylko ciebie dręczy poczucie winy. Być może sprzeniewierzyłem własne prawo do szczęścia. Być może ty postąpiłaś podobnie. Ale nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy cierpieć teraz oddzielnie, kiedy możemy się wzajemnie wspierać.

Gdyby Phoebe nie była aż tak oszołomiona poczynionym przez Connora wyznaniem, pewnie dostrzegłaby nadchodzące niebezpieczeństwo. Ale nawet gdyby dostatecznie się pilnowała, nie zdołałaby się oprzeć namiętności, z jaką zaczął ją całować. Odruchowo objęła go za szyję, napawając się odurzającym zapachem jego skóry. Całowali się długo, aż do

utraty tchu. Wreszcie Phoebe odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy półprzytomnym wzrokiem.

- Musimy porozmawiać...

- Za późno - jęknął, podnosząc ją z ziemi. - Ja pragnę ciebie, a ty mnie. I tylko to się liczy. - Wyglądał teraz jak prężący się do skoku drapieżny kot. - Czuję się tak, jakbym odbywał karę za coś, czego nigdy nie zrobiłem, jak pokutnik, który nie popełnił grzechu. Najwyższy czas, żebyśmy oboje dowiedzieli się, za co przychodzi nam cierpieć.

- Co robisz, Con? - zapytała, czując na skórze dotyk jego gładkich dłoni.

- Otwórz oczy, to zobaczysz.

- Nie powinniśmy... - Wciąż usiłowała oprzeć się narastającemu odczuciu rozkoszy. - Nigdy nie zdołamy cofnąć czasu.

- Oczywiście, że nie. Dlatego musimy zacząć wszystko od nowa - powiedział i pocałował ją znowu z taką namiętnością, że poczuła tylko nagły zawrót głowy, a zaraz potem przyплыw niewysłowionej błogości.

Spod półprzymkniętych powiek przyglądała się, jak Connor rozpina jej bluzkę, jak odsłania jej nabrzmiałe piersi. Miała wrażenie, że cała płonie, podczas gdy on z lubością pieścił jej drżące z rozkoszy ciało. Raptem znieruchomiał.

- Czy tego właśnie chcę? - szepnął sam do siebie.

- Tak! - zawołała bezwiednie.

Nienaturalny dźwięk własnego głosu sprowadził Phoebe z powrotem na ziemię. Ogarnął ją lęk.

- Przestań! - Kurczowo zacisnęła dłoń ma nadgarstku Connora. - Ściągniemy na siebie nieszczęście.

- Nieprawda. Obiecuję ci, że będziemy bardzo szczęśliwi. Gdyby tylko mogła mu wierzyć!

- Nie umiem zapomnieć, kim jesteś. - Jak miała mu wyjaśnić, że czuje się tak, jakby okłamując siostrę, sięgnęła właśnie po zakazany owoc.

- Byłoby mi trochę przykro, gdybyś nie pamiętała

- zażartował, ocierając ze śniadej twarzy kropelki potu.

- Nie bój się - dodał po chwili poważnie - przecież nikomu nie robimy krzywdy.

- Ale Penny... - Patrzyła na niego z zakłopotaniem.

- Posłuchaj, Phoebe. W tym łóżku jest miejsce tylko na dwie osoby.

- Nie widzę tu żadnego łóżka. - No nie, skarciła sama siebie, teraz zaczynam kłócić się o słowa.

- No to na tej kanapie. - Pomógł jej podnieść się z podłogi. - Sypialnia znajduje się na piętrze. Mogłoby trochę potrwać, zanim bym tam się wdrapał z tym cholernym gipsem. Więc zlituj się nade mną, bo dłużej nie wytrzymam - wyznał z tak rozbijającą szczerością, że Phoebe poczuła, że i nią znowu zawładnęły zmysły.

Oczy Connora pały pożądaniem. Pociągnął ją za sobą na skórzane poduchy i pośpiesznie ściągnął z niej pozostałe części ubrania, obsypując jej ciało gradem pocałunków, podczas gdy Phoebe równie gorączkowo rozpinęła mu koszulę.

Pozbywszy się wreszcie resztek garderoby, połączyli się i kochali długo, dziko i namiętnie, jakby oboje chcieli nadrobić cały stracony czas. Wreszcie opadli bez sił na kanapę.

- Nic ci się nie jest? - zapytała Phoebe, przypomniawszy sobie nieco poniewczasie o chorym kolanie Connora. Miała nadzieję, że w szale miłosnego uniesienia nie wyrządził sobie krzywdy.

- Nigdy w życiu nie czułem się lepiej - odparł z głębokim przekonaniem.

Phoebe zaś nie mogła wykluczyć, że Connor po prostu chce jej sprawić przyjemność, ale bardzo chciała wierzyć, że mówił prawdę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Z czułością gładził Phoebe po nagich plecach i rozkoszował się jej miękką, delikatną w dotyku skórą.

Mimo że nie wszystko ułożyło się tak, jak sobie z góry zaplanował, czuł się rewelacyjnie. Nawet nie dlatego, że nareszcie byli razem, chociaż po raz pierwszy od momentu, gdy po powrocie z urlopu zobaczył ją na korytarzu przychodni, zaznał dziś ukojenia.

Zawsze jednak uważał, że zanim pomyśli o przyszłym życiu, musi najpierw dokonać rozrachunku z przeszłością. W atmosferze półprawdy i niedopowiedzeń trudności związane z nieufnością i poczuciem winy mogły się tylko pogłębiać, a zarówno on sam, jak i Phoebe mieli tyle tego typu problemów, że wyżywiłby się przy nich niejeden psychoterapeuta.

Dlatego tym razem Connor postanowił wyjaśnić wszystko do końca. Zawczasu przygotował sobie argumenty, którymi zamierzał przekonać Phoebe, by zgodziła się z nim zostać. Popęłił wszakże jeden błąd. Zapomniał wziąć pod uwagę przemożne znaczenie czysto fizycznego pożądania. Pewnie dlatego, zamiast spokojnie i stopniowo wyjawić jej prawdę, przedstawił jej szokującą i bezładną wersję wydarzeń.

Phoebe właśnie przewróciła się na bok i wtuliła twarz w jego ramię, kiedy przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwonek.

- Nie otwieraj - poprosiła.

- Dobrze - odparł i powiódł dłonią po delikatnie zarysowanej linii jej brzucha.

Ktokolwiek stał za progiem, nie zamierzał łatwo zrezygnować. Oboje w napięciu słuchali powtarzającego się raz po raz dzwonięcia i pukania do drzwi.

- Może coś się stało? - szepnęła i po cichu podniosła się z kanapy. Szybko pozbierała porozrzucone wokół części

garderoby i doprowadziła się do porządku. - Jestem gotowa - oznajmiła, zaciągawszy suwak džinsów. - Connor...

- Słucham?

Kiedy stał przed nią i patrzył jej prosto w oczy, pomyślała, że nigdy, ale to nigdy nie widziała równie atrakcyjnego mężczyzny.

- Nic, nic... Idź otworzyć - powiedziała, gdyż właśnie ciszę przeszła kolejna seria dzwonków.

Kto może być aż tak uparty? Może Ellen? Czyżby przyjechała upomnieć się o swoją własność? Phoebe poczuła przykre ukłucie zazdrości. Myśl o tym, że Connor prędzej czy później ożeni się ponownie, bynajmniej jej nie radowała, chociaż w pełni zdawała sobie sprawę, że nie może odmawiać mu prawa do szczęścia. Tym bardziej że nawet gdyby ją o to poprosił, sama nie odważyłaby się wyjść za własnego szwagra.

Mimo że nigdy w życiu nie doświadczyła równie cudownego miłosnego uniesienia jak właśnie dzisiaj, wciąż była głęboko przeświadczona, że małżeństwo z Connorem nie wytrzymałoby próby czasu. Nie chciała, by dręczące ich oboje poczucie winy z czasem zmieniło ich związek w jedno długie pasmo udreki.

Co prawda w tej chwili nie potrafiła wyobrazić sobie dalszego życia bez Connora. Gdyby nie pozwoliła dziś sprawom zajść aż tak daleko, przynajmniej nie wiedziałyby, jak wiele przyjdzie jej stracić. Cóż, przynajmniej będzie miała do czego wracać pamięcią.

Z korytarza dobiegały zdenerwowane głosy. Mimo że nie potrafiła odróżnić poszczególnych słów, natychmiast zorientowała się, że wydarzyło się coś poważnego. W pośpiechu zasznurowała buty.

Connor wrócił do pokoju z torbą lekarską w ręku.

- Na skrzyżowaniu w Molton doszło do wypadku - wyjaśnił.

- Na tym koło starej kaplicy?

Dzięki codziennym wizytom składanym chorym w domu, Phoebe całkiem dobrze poznała już topografię okolicy.

- Właśnie. Rozbitych jest kilka samochodów osobowych i jedna cysterna, z której, co gorsza, wylewa się na asfalt jakaś podejrzana ciecz.

- Doszło do pożaru?

- Na razie nie. Ben Wells wiedział, że mieszkam najbliżej, więc podjechał tu traktorem po pomoc. Podobno straż i pogotowie są już w drodze. Możesz prowadzić?

- Oczywiście. - Wyjęła kluczyki z torebki. - Ilu jest rannych?

- Nie mam pojęcia.

Po kilku minutach znaleźli się na miejscu wypadku.

Phoebe zaparkowała na porośniętym trawą poboczu w pewnym oddaleniu od roztrzaskanych samochodów, zostawiając dość miejsca dla oczekiwanych lada chwila karettek. Ledwie otworzyła drzwi, poczuła przykre pieczenie pod powiekami.

- To chyba opary jakiejś substancji chemicznej. - Connor zwrócił uwagę na dziwny zapach unoszący się w powietrzu. - Nic ci nie jest?

- Chyba trochę się boję. Ale nie martw się, dam sobie radę - rzekła z cierpkim uśmiechem.

Nie wątpił w to ani przez chwilę. Przecież z tego, co zdążył się o niej dowiedzieć, sprawdziła się w po stokroć trudniejszych sytuacjach. Odwaga Phoebe z jednej strony napawała go dumą, ale z drugiej wciąż jeszcze drżał na myśl o tym, że mógłby ją stracić.

Straż pożarna i policja zdążyły już przybyć na miejsce. Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy musiał wziąć ich

za ciekawskich gapiów, bo ruszył energicznym krokiem w ich kierunku. Rozpoznawszy doktora Carlyle'a, rozchmurzył się i odetchnął z wyraźną ulgą.

- To jest doktor Miller - Connor przedstawił mu swą towarzyszkę. - Może pan opisać sytuację?

- Jedna ofiara śmiertelna. - Policjant wskazał na pokieroszowany wrak, w którym trudno było się doszukać kształtu samochodu. - Nie wiemy, co z kierowcą wozu przygniecionego przez cysternę, ale nie wygląda to dobrze. Co gorsza, straż nie może wkroczyć do akcji, zanim nie ustalimy, co właściwie wycieka z tego cholernego zbiornika, a od kierowcy cysterny nie można się niczego dowiedzieć, bo jest wciąż nieprzytomny.

Dziecku, które jechało w tamtym volvo, chyba nic się nie stało. Jego fotelik na szczęście przytwierdzony był do tylnego siedzenia. Strażacy próbują właśnie ocenić stan jego matki. Wiem tylko, że silnie krwawi. Connor z namysłem pokiwał głową.

- Kiedy spodziewacie się karettek?

- Niestety, dopiero za jakieś pięć minut. Wymienili z Phoebe spojrzenia.

- No to nie ma na co czekać. Wkraczamy do akcji. Jakie jest prawdopodobieństwo pożaru?

- Obawiam się, że duże.

Starając się omijać kałuże cuchnącej substancji, udali się w kierunku leżącego w głębokim rowie volvo. Samochód musiał odbić się od cysterny, przekoziółkować i stoczyć z wysokiego nasypu.

Schodząc w dół, Phoebe pośliznęła się na mokrej trawie i gdyby nie refleks policjanta, pewnie wylądowałyby na ziemi.

- Dziękuję. Nie ma to jak ostrożność.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na wyjątkowo młody wiek swego wybawcy. Mimo że chłopak usiłował zachowywać się

jak rasowy policjant, który niejedno widział w życiu, był wyraźnie wstrząśnięty rozgrywającą się wokół tragedią. Patrząc z rozrzewnieniem na jego pobladłą, młodziutką twarz, Phoebe poczuła się tak, jakby jej samej nagle przybyła lat. Pomyślała, że nie powinno się zatrudniać dzieci w policji.

Zatrzymała się, starając się ocenić sytuację.

- Nic tu po tobie, Con - powiedziała po chwili. - Z tymi kulami nawet nie dasz rady tam zejść. Więc zostaw mnie tutaj i zajmij się dzieckiem i kierowcą cysterny.

- Dobrze. - Nie mógł odmówić jej racji. Zejście było rzeczywiście zbyt strome jak na jego ograniczone przez unieruchomione kolano możliwości. - Zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Ogarnęła go złość na własną bezużyteczność. Po cholere w ogóle pchał się w te góry?! Trzeba było siedzieć na miejscu i leczyć ludzi, zamiast włóczyć się po ośnieżonych stokach.

Kiedy Phoebe dotarła na miejsce, strażacy właśnie zdołali zdjąć z samochodu drzwi od strony kierowcy i teraz próbowali nawiązać kontakt z siedzącą na przednim siedzeniu kobietą.

- Jestem doktor Miller - przedstawiła się Phoebe, usiłując nie zwracać uwagi na unoszący się wokół smród benzyny.

- Dobrze, że pani już jest. - Mężczyźni odsunęli się na bok, umożliwiając jej przejście. - Poszkodowana ma na imię Nel.

Na dźwięk swojego imienia kobieta otworzyła oczy.

- Mógłby pan... - Phoebe popatrzyła na stojącego najbliżej strażaka - przytrzymać jej od tyłu głowę?

- Może mieć uszkodzony kręgosłup, tak?

- Nie wiem, ale zawsze lepiej zachować ostrożność. Po chwili rozległ się brzęk tłuczonej szyby i mężczyzna wsunął się na tylne siedzenie za ranną.

- Mam na imię Phoebe - uśmiechnęła się do umazanej krwią kobiety i delikatnie usunęła okruchy szkła z jej woskowo bladych policzków.

- Co z moim dzieckiem? Coś mu się stało?

- Jestem pewna, że nic mu nie będzie - powiedziała Phoebe z głębokim przekonaniem. Rzeczywiście wierzyła święcie, że pod opieką Connora dziecku nie może nic grozić. - Jest teraz przy nim mój kolega.

- Dzięki Bogu! - Z twarzy Nel zniknęło wcześniejsze napięcie i z oczu popłynęły łzy radości. - Przepraszam.

- Proszę się nie krępować. - Phoebe przyjrzała się uważnie obficie krwawiącemu rozcięciu na czole poszkodowanej. - Czy coś panią boli?

- Wszystko. - Ranna zacisnęła oczy i spróbowała się poruszyć.

- Rozumiem. - Phoebe uśmiechnęła się ze współczuciem. - Teraz postaram się panią zbadać. Proszę dać mi znać, jeśli poczuje pani, że dotykam jakiegoś szczególnie czułego miejsca.

- Może pani na mnie liczyć, pani doktor. - Nel spróbowała zażartować. .

- Czy może pani poruszyć stopą? - Fakt, że ranna zachowała przytomność, znacznie ułatwił zadanie.

- Owszem. Ale wolałabym tego nie robić.

Phoebe była pełna podziwu dla zachowania pacjentki. Wątpiła, by sama w tak tragicznych okolicznościach potrafiła wykazać się podobnym hartem ducha.

- Zapach benzyny jest coraz silniejszy - ostrzegł jeden ze stojących obok strażaków. - Im szybciej ją stąd zabierzemy, tym lepiej.

- Rozumiem. - Phoebe skinęła głową. - Postaram się pospieszyć. - Wprawnymi dłońmi obmacała uważnie głowę rannej kobiety.

Na szczęście wszyscy czekający na zewnątrz ratownicy zdawali sobie sprawę, że próba wyciągnięcia rannej z samochodu bez wcześniejszego badania może okazać się fatalna w skutkach. W przypadkach urazu kręgosłupa nawet drobna nieostrożność prowadzi często do nieodwracalnego kalectwa.

Phoebe ucieszyła się, widząc, że źrenice Nel jednakowo reagują na światło. Przynajmniej na razie mogła wykluczyć krwawienie wewnątrzczaszkowe. Ale wynik dalszego badania nie był niestety równie pomyślny. Częstoskurcz i niskie ciśnienie tętnicze wskazywały na krwawienie z któregoś z narządów wewnętrznych.

Pod palcami czuła wyraźnie napięcie błon brzusznych pacjentki.

- Tutaj... - Nel syknęła z bólu.

- Przepraszam.

- To krwotok wewnętrzny, prawda? Phoebe otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Jest pani lekarzem?

- Nie, pielęgniarką. Pracuję w szpitalu w izbie przyjęć. Mam pękniętą śledzionę?

- W tych warunkach trudno o pewną diagnozę, ale wydaje mi się, że tak. - Uznała, że nie zdoła ukryć przed Nel powagi sytuacji.

- Trudno. Będę musiała jakoś się bez niej obejść. Phoebe chyba jeszcze nigdy w życiu nie miała do czynienia z równie opanowaną pacjentką.

- Jak tylko panią stąd wydostaniemy, od razu podłączymy kroplówkę - obiecała. - Teraz tylko jeszcze założę pani ten kołnierz, na wypadek uszkodzenia kręgów szyjnych - powiedziała z uśmiechem, zastanawiając się, czym zasłużyła sobie na wdzięczność, jaka malowała się teraz w oczach rannej kobiety. - Chłopcy zaraz wyciągną panią z samochodu.

- Phoebe usunęła się na bok, by umożliwić strażakom dostęp do rannej.

- Może pani kląć, ile wlezie, bo pewnie będzie bolało. A panowie już niejedno w życiu słyszeli. Tylko uważajcie na kręgosłup - zwróciła się do pochyłonych nad Nel mężczyzn. - Co prawda nie zauważyłam urazu, ale lepiej zachować ostrożność.

Karetka dojechała na miejsce w chwili, kiedy układali kobietę na noszach obok pozostałych ofiar wypadku.

- Jestem doktor Miller. - Phoebe wyciągnęła dłoń do sanitariusza. Ranna - wskazała wzrokiem na Nel - jest przytomna. Ma głębokie rozcięcie na głowie i napięte błony brzuszne. Podejrzewam pęknięcie śledziony. Źrenice równo reagują na światło, ciśnienie dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt. Właśnie miałam jej podłączyć kroplówkę.

- Rozumiem. Zaraz się tym zajmiemy. A co z pozostałymi rannymi?

- Doktor Carlyle się nimi zajmuje. - Rozejrzała się wokół, ale nie dostrzegła nigdzie znajomej sylwetki.

- Przepraszam, gdzie podział się Connor, to znaczy doktor Carlyle? - zaczęła przechodzącego właśnie, poznanego wcześniej policjanta.

Przeczenie mówiło jej, że musiało stać się coś niedobrego.

- Zajmuje się kierowcą uwięzionym pod cysterną - odparł tak zwyczajnym tonem, jak gdyby wyjaśniał jej, że Connor właśnie skoczył do sklepu po mleko.

Tymczasem samochód, do którego udał się Connor, był do połowy przygnieciony przez nieszczelną cysternę, a wokół unosiły się gęste opary trującej zapewne substancji.

Phoebe poczuła, że uginają się pod nią kolana.

- Słucham? - Jeszcze miała nadzieję, że się przesłyszała.

- Facet ma przygniecioną nogę, więc nie można go na razie wyciągnąć z samochodu. Baliśmy się, że może się wykrwawić na śmierć.

- Ale kto tam wysłał Connora? Przecież gołym okiem widać, że nie jest w stanie wczołgać się pod ten zbiornik. Nie zauważyliście, że porusza się o kulach?

Gwałtowna reakcja Phoebe zbiła policjanta z tropu.

- Owszem. I nawet chcieliśmy poczekać na panią

- tłumaczył, wyraźnie strapiony. - Ale doktor Carlyle wyjaśnił, że jest pani w ciąży, więc i tak by tam pani nie poszła, nawet w masce gazowej. Cholera wie, co ta za trucizna!

- Że jestem w... - Oniemiała. - Ach, tak. Znając Connora, właściwie nie powinna się dziwić.

Zawsze był zdolny do najbardziej pokrętnego kłamstwa, by osiągnąć zamierzony cel. Ale tym razem posunął się za daleko! Jak tylko się pokaże... Jeżeli się pokaże...

- Zabiję go, jeśli tam umrze - mruknęła sama do siebie.

- Pani doktor, może nam pani pomóc?

- Słucham? - Z ociąganiem odwróciła wzrok od ludzi zebranych wokół przygniecionego wraka samochodu. Gdzieś tam, pewnie pod samą cysterną, leży teraz Connor. - Tak, oczywiście. Już idę.

Connor nie może zginąć, powtarzała sobie w duchu, starając się ze wszystkich sił odegnąć czarne myśli. Jednak nawet w trakcie udzielania pomocy na szczęście prawie nie draśniętemu synkowi Nel, raz po raz odwracała z niepokojem głowę w kierunku przekłętego zbiornika.

- Już niedługo, Andy.

Zanim ranny stracił świadomość, Connor zdołał dowiedzieć się, jak ma na imię. Teraz, mimo że mężczyzna przestał reagować na pytania, Connor nie przestawał do niego mówić. Miał nadzieję, że mimo maski przeciwgazowej, jaką

kazano mu założyć przed wczolaniem się do wraku, głos ma na tyle wyraźny, że przynajmniej część stów dobiega do uszu pacjenta.

Chłodna, lepka skóra i nitkowane tętno wskazywało, że ranny znajduje się w głębokim szoku. Niestety, pozbawiony fachowego sprzętu, w ciasnym wnętrzu samochodu Connor nie był w stanie zbyt wiele dla niego zrobić.

Mógł jedynie próbować powstrzymać krwawienie ze zgruchotanej w czasie zderzenia nogi.

Najbardziej martwiło go, że zakleszczona między pedałami stopa mężczyzny jest zimna i pozbawiona czucia. Obawiał się, że zbyt długo pozostawała bez dopływu krwi, by udało się w niej przywrócić krążenie.

Założył rannemu na twarz maskę z tlenem i opatrzył ranę na tyle, że krwawienie zdecydowanie osłabło. Następnie, mimo kłępującej ruchy ciasnoty, zdołał podłączyć wenflon i podać mężczyźnie morfinę na uśmierzenie bólu.

Hałasy dobiegające z zewnątrz wyrwały rannego z odrętwienia. Rozejrzał się wokół półprzytomnym wzrokiem i w nagłym przyplýwie paniki zaczął zrywać maskę z twarzy.

- Już dobrze. Proszę się nie bać. - Connor chwycił mężczyznę za ręce. Jednak ranny najwyraźniej go nie usłyszał, bo nadal wyrywał dłonie, a jego wzrok zdradzał potworne przerażenie. Co gorsza, na skutek całej tej szarpaniny rana na nodze znowu zaczęła obficie krwawić.

Zorientowawszy się, że jego głos w ogóle nie dociera do pacjenta, Connor zdarł z twarzy własną maskę.

- W porządku, Andy - powiedział łagodnie. - Zaraz nas stąd zabiorą.

- Dzięki Bogu. - Spokojna twarz lekarza podziałała na rannego jak balsam. - Myślałem, że już po nas.

- Ja w każdym razie nie zamierzam umierać - zachichotał Connor. W każdym razie nie teraz, kiedy życie wreszcie zaczęło się do mnie uśmiechać.

Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze zobaczyć pochylone nad sobą twarze strażaków, którym wreszcie udało się wyciąć dziurę w dachu samochodu.

- To przez te opary - usłyszał dobiegający gdzieś z daleka głos. - Niepotrzebnie zdejmował maskę.

Phoebe siedziała w poczekalni ze wzrokiem utkwionym w oknie. Od momentu, kiedy ujrzała na noszach nieprzytomnego Connora, miała wrażenie, że podzieliła się na dwie niezależnie funkcjonujące osoby. Jedna z profesjonalnym spokojem rozmawiała z sanitariuszem na temat stanu chorego, natomiast druga umierała z niepokoju i w głębi duszy zalewała się łzami.

- Przyjechałem najszybciej jak mogłem. - Will przysiadł na sąsiednim krześle i serdecznie otoczył ją ramieniem. - Nic ci nie jest?

- Will? - Phoebe popatrzyła na kolegę półprzytomnym wzrokiem. - Przepraszam, nie usłyszałam, co mówiłeś.

- Pytałem, czy nic ci nie jest.

- Nie. - Odetchnęła głęboko, próbując wziąć się w garść. - To nie ja nawdychałam się tych trujących gazów. Nie rozumiem, jak to się stało. Jak mógł być aż tak głupi? - Zakryła dłonią drżące z przejęcia usta.

- Jest aż tak niedobrze? - Will przyjrzał się jej z niepokojem. - Musieli go wentylować?

- Skąd mogę wiedzieć? - krzyknęła. - Nikt mi niczego nie mówi. Nawet nie pozwolili mi wsiąść do karetki. A jak przyjechałam własnym samochodem, kazali mi tutaj czekać. - Zagryzła z rozpaczą wargi. - Nienawidzę lekarzy!

Will próbował ją pocieszać, ale widząc, że jego wysiłki nie na wiele się zdają, sam popadł w zadumę.

Raz na jakiś czas w poczekalni pojawiał się ktoś z personelu szpitala i podchodził do którejś z oczekujących tu na wiadomość z izby przyjęć osób.

- Zauważyłeś, że z ich min można od razu wyczytać, jakie przynoszą wieści? - zapytała Phoebe łamiącym się głosem.

Will spojrzał ze współczuciem na jej ziemistą, wymęczoną twarz.

- Naprawdę nie ma sensu przewidywać najgorszego. Dobrze znam Connora. Bardzo twardy z niego gość.

- Masz rację. Ale... - łzy napłynęły jej do oczu - nawet nie wyobrażasz sobie, jak potwornie był blady.

Na pewno nie aż tak blady jak ty, westchnął w duchu, zastanawiając się, jak zareaguje jego żona, kiedy dowie się o niezwykłym zachowaniu Phoebe. Trish od dawna była zdania, że Connor powinien się jak najszybciej ożenić i kilkakrotnie nawet próbowała odegrać rolę swatki, niestety bez rezultatu. Teraz, patrząc na zdjętą trwogą twarz sympatycznej lekarki, Will nie miał wątpliwości co do rodzaju uczuć, jakie połączyły ją z przyjacielem.

Nagle drzwi prowadzące z izby przyjęć otworzyły się z impetem i do poczekalni wkroczył nie kto inny, jak Connor Carlyle we własnej osobie.

- Długo już na mnie czekacie? - Ze zdziwieniem zauważył, że ani Will, ani Phoebe nie ruszają się z miejsca. - Nie oczekuję jakiegoś szczególnego powitania, ale moglibyście przynajmniej zapytać, jak się czuję.

Phoebe wciąż tkwiła w bezruchu. Przez chwilę wydawało się jej, że właśnie zobaczyła ducha.

- Naprawdę cię przepraszam. - Na szczęście Will zdołał otrząsnąć się już z wrażenia. - Ale trochę nas zamurowało. Myśleliśmy, że albo zabrali cię na intensywną terapię, albo...

W oczach Coonora pojawiły się ogniki rozbawienia.

- Przykro mi, że przeszkodziłem wam w przygotowaniach do pogrzebu - zachichotał.

Tego już było za wiele.

- Uważasz, że to śmieszne! - wrzasnęła Phoebe, zrywając się na równe nogi. - Pewnie równie śmieszne jak to, że zgrywając supermana, wczołgałeś się pod tę przeklętą cysternę. Faktycznie - zacisnęła pięści - kiedy mi o tym powiedzieli, myślałam, że pęknę ze śmiechu.

- Uspokój się. - Connor zmarszczył brwi ze zdziwienia. - Zrobiłem, co uważałem za słuszne.

- Oczywiście. I właśnie z tego powodu obwieściłeś całemu światu, że jestem w ciąży, tak?

Twarz Connora oblała się lekkim rumieńcem.

- Nie chciałem, żeby ją tam posłali - wyjaśnił przyjacielowi. W końcu, jako mężczyzna, Will powinien okazać mu zrozumienie. - Wolałem nie narażać jej na niebezpieczeństwo.

- Wolałeś, żebym stała z boku i umierała ze strachu o ciebie, tak?

- Mam wrażenie, że jak na kogoś, kto przez trzy lata zasłaniał się moskitierą przed ogniem karabinów maszynowych, nieco przesadzasz?

- To nie ma nic do rzeczy!

- Nieprawda. Bywałaś w o wiele bardziej niebezpiecznych sytuacjach niż dzisiejsza.

- Przestań wreszcie odwracać kota ogonem.

- A co? Może powinienem przeprosić cię za to, że żyję?

Connor odniósł wrażenie, że z Phoebe nagle uszło powietrze. Skuliła się, tak jakby nagle wszystko przestało mieć dla niej znaczenie.

- Jak możesz mówić takie rzeczy? - wykrztusiła przez łyżę.

- Siedziałam tu tak długo i wyobrażałam sobie najgorsze. Nikt

nie chciał ze mną rozmawiać Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś umarł. - Ukryła twarz w dłoniach.

- Przytrzymaj je. - Connor podał Willowi kule i pokuśtykał w jej kierunku.

Kiedy ją przytulił, Phoebe nagle poczuła się jak w niebie. I mimo że rozsądek podpowiadał jej, że powinna jak najszybciej wyzwolić się z tego zniewalającego uścisku, pozostała w ramionach ukochanego.

- Przepraszam - szepnął Connor, zanurzając twarz w jej włosach. - Zachowałem się jak idiota, ale nie przypuszczałem... Wybaczysz mi?

- Pod warunkiem, że obiecasz nigdy więcej mnie tak nie wystraszyć.

- Słowo harcerza.

- I tak ci nie wierzę - oświadczyła, zarzucając mu ręce na szyję.

Gdyby nie to, że próbując niezauważenie się ulotnić, Will niechcący strącił na podłogę plik ilustrowanych magazynów, całowałiby się pewnie w nieskończoność. Ale rumor spadających pism sprowadził Phoebe z powrotem na ziemię. Wyrwała się i stanęła pod ścianą.

- Jeśli zamierzacie mnie prosić, żebym nie mówił nic Trish, to z góry odmawiam - roześmiał się Will. - I tak ze mnie wszystko wyciągnie.

- Możesz mówić, co chcesz. - Connor ani przez chwilę nie wydawał się zakłopotany. - Nie mamy nic do ukrycia.

- To świetnie. A to oczywiście znaczy, że doktor Miller przystępuje do spółki - powiedział, nie kryjąc radości. - Nie martw się - dodał, kierując spojrzenie na Phoebe. - To, że spodziewasz się dziecka, absolutnie niczego nie zmienia.

Phoebe oblała się rumieńcem.

- Ale ja wcale nie jestem w ciąży...

Posłała Connorowi karcące spojrzenie i nagle zdała sobie sprawę, że być może mija się z prawdą. A przecież zawsze dziwiła się zdawałoby się rozsądnym kobietom, które zgłaszały się do niej, przerażone brakiem okresu. Widać niewiele dotąd wiedziała o życiu.

Najdziwniejsze jednak było to, że perspektywa macierzyństwa wcale nie wprawiała ją w popłoch. Przeciwnie, byłaby szczęśliwa, gdyby okazało się, nosi w łonie dziecko Connora Carlyle'a.

- Nie? - Will nawet nie próbował ukryć rozczarowania.

- A po tym, jak się dziś zachowałam, jestem zdumiona, że nie wycofałeś oferty.

- Dzisiaj to co innego. - Popatrzył znacząco na przyjaciela. - A teraz już chodźcie. Podrzucę was do domu.

- Dziękuję, ale mój samochód stoi przecież przed szpitalem.

- Wiem, ale gołym okiem widać, że nie jesteś w stanie prowadzić.

Phoebe delikatnie ujęła w dłoń nadgarstek Connora i sprawdziła godzinę. Zamruczał coś pod nosem, ale na szczęście się nie obudził. Wskazówki pokazały wpół do piątej. Podparłszy dłońmi podbródek, popatrzyła czule na rysującą się blado w ciemnościach sylwetkę.

Na samo wspomnienie dzisiejszej nocy poczuła słodycz w sercu. Connor dawał jej tyle szczęścia, że była więcej niż pewna, że nigdy nie zdoła się nim do końca nasycić.

Kiedy Will zaparkował przed jej domem i zapewniwszy, że nie musi przychodzić rano do pracy, powiedział jej wreszcie dobranoc, Phoebe poszła wąską ścieżką do drzwi. Nie musiała się odwracać, by domyślić się, że Connor podąża jej śladem.

- Chcesz wejść? - zapytała, przekręcając klucz w zamku.

W odpowiedzi usłyszała jedynie zduszone mruknięcie, a zaraz potem poczuła na plecach dotyk jego ciepłych dłoni. I aż jęknęła z rozkoszy.

- Uważaj na kule - ostrzegła, kiedy przechodzili przez próg.

Bezwiednie przysunęła się do Connora tak blisko, że prawie się o nią opierał.

- Mam wrażenie - odparł po chwili - że możemy się dziś bez nich obejść.

Zanim zdążyła zaprotestować, cisnął kule z hukiem pod ścianę.

- W takim razie będziesz musiał wesprzeć się na mnie. - Podała mu ramię. - Całe szczęście, że do sypialni jest naprawdę blisko. Zresztą sam wiesz. Przecież jesteś u siebie.

Oboje parsknęli śmiechem.

Phoebe ze wzruszeniem wróciła myślami do radosnego uniesienia, z jakim wędrowali wspólnie przez przedpokój. Jeszcze raz popatrzyła na śpiącego u jej boku mężczyznę, po czym, otarłszy łzę z policzka, bezszelestnie wysunęła się spod kołdry.

Ubrała się i starając się czynić jak najmniej hałasu, spakowała najpotrzebniejsze drobiazgi. Wiedziała, że musi się spieszyć. Gdyby została tu odrobinę dłużej, pewnie musiałaby pozostać z nim na zawsze.

Tyle że poczucie winy bardzo szybko by zatruło ich szczęście. A tego właśnie chciała za wszelką cenę uniknąć.

Usiłując nie patrzeć na własne odbicie w lustrze, obmyła twarz, przeczesła grzebieniem włosy i zgarnęła do torby porozrzucane na szklanej półeczce kosmetyki.

- Wybierasz się dokądś?

Na dźwięk głosu Connora podskoczyła z przestרחu. Stał w drzwiach łazienki, opierając się o framugę, i patrzył na nią ze złością.

- Nie chciałam cię budzić.
- Zapomniałem ci powiedzieć, że mam bardzo lekki sen - mruknął, wykrzywiając nieprzyjemnie usta.

Phoebe splotła dłonie na piersiach,

- Nie gniewaj się - powiedziała z błaganiem w głosie. - Dobrze wiesz, że nie mam innego wyjścia.

Connor zacisnął zęby.

- Wiem tylko tyle, że chciałaś się wymknąć bez słowa. A może tym razem zamierzałaś zostawić mi pożegnalny liścik?

- Sama nie wiem - przyznała ze skruchą.

- Nie pojmuję, jak po tym, co przeżyliśmy tej nocy, możesz chcieć odejść?

- Naprawdę? Naprawdę nie rozumiesz, że właśnie dlatego, że było tak wspaniale, muszę cię opuścić?

- Nie. - Był jednocześnie wściekły i bezgranicznie zdumiony. - To właśnie nie może mi się pomieścić w głowie.

- Ilekroć o tobie pomyślę, chcę pamiętać właśnie tę noc.

- Możesz wymienić choć jeden powód, dlaczego nie mielibyśmy przeżyć wielu równie wspaniałych nocy, wieczorów, poranków...

- Tak. Z powodu Penny - westchnęła ze smutkiem.

Mimo że powinien spodziewać się właśnie takiej odpowiedzi, aż się skulił z wrażenia. Dopiero po chwili doszedł do siebie i zmierzył Phoebe surowym spojrzeniem.

- Posłuchaj. Zgadzam się, że nieudane małżeństwo nie może nikogo cieszyć, ale to jeszcze nie powód, żeby do końca życia nosić pokutne szaty. Możesz mi nie uwierzyć, ale oboje z Penny naprawdę mieliśmy już za sobą okres wzajemnych oskarżeń. Podejrzewam, że gdyby żyła, nadal byśmy się przyjaźnili. Jasny gwint, Phoebe, dobrze wiem, że popełniłem błąd, ale czy to znaczy, że mam, a właściwie, że mamy już zawsze cierpieć?

- Nie wiem - odparła szczerze. - Wiem tylko, że nie możemy być razem, bo nigdy nie pozbędę się złudzenia, że gdzieś w kącie stoi Penny i przygląda nam się z odrazą. Nie potrafiłabym tak żyć. I dobrze wiem, że ty czułbyś dokładnie to samo. Poczucie winy to bardzo silna trucizna.

- To jakiś absurd. - Pokręcił głową z najgłębszym przekonaniem. - Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy taki żalony scenariusz? Przecież wiem, że mnie kochasz.

Nie zamierzała zaprzeczać.

- Tyle że miłość to jeszcze nie wszystko. Connor przyjrzał się jej badawczo.

- Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś? - zapytał zniechęcony.

- Nie.

- Nie wierzę. A wydaje mi się, że zważywszy na okoliczności, należy mi się jakieś uczciwe wyjaśnienie.

- Powiedziałam ci prawdę - odparła. - No, może nie całą prawdę - dodała po chwili ze skruchą. - Bo kiedy wy z Penny byliście razem, wyobrażałam sobie, jak.... Nie chciałam, ale to było silniejsze ode mnie. Czasami prawie ją nienawidziłam. Rozumiesz? Nienawidziłam własną siostrę!

Zatkała dłońmi uszy.

- Tylko nic teraz nie mów. - Nie zniosłaby jego współczucia. - Kiedy zauważyłam, jak bardzo mnie pragniesz, myślałam, że to z tęsknoty za Penny. Chyba wolałabym, żebyś w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Nie umiem ci wytłumaczyć, jak się wtedy czułam. To takie poniżające. Wiedziałam, że nie chodzi ci o mnie, a mimo to marzyłam o tobie po nocach.

- Kochanie, przecież już ci tłumaczyłem, że zawsze myślałem tylko o tobie.

- Właśnie. I to jest najgorsze. Wiesz, co musiała czuć Penny, kiedy zorientowała się, że traktujesz ją jak duplikat? Wiesz, jak musiała cierpieć? Nigdy sobie tego nie daruję.

Connor zaniemówił. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak wielkie brzemie dźwiga Phoebe na swych drobnych barkach.

- Nie pozwolę ci odejść - odezwał się w końcu.

- Nie możesz mnie zatrzymać.

- A jeżeli rzeczywiście jesteś w ciąży? Świetnie rozumiał, że zagrał w tej chwili nie fair, ale był gotów posunąć się prawie do wszystkiego, żeby tylko została w Hayfield.

- Jest za wcześnie, żeby się nad tym zastanawiać. Powoli zaczynał tracić nadzieję. Cóż mógł jeszcze powiedzieć, skoro nawet taki argument nie trafił jej do przekonania?

- Postaraj się nie działać pochopnie.

- Nie rozumiem. - Phoebe zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

- Wyjedź na jakiś czas, jeśli rzeczywiście uważasz, że tak będzie lepiej, i postaraj się ochłonać. Popatrz na to wszystko z dystansu.

- To niczego nie zmieni - odrzekła pozbawionym wyrazu głosem. - Ale dobrze. Zatrzymam się na jakiś czas u matki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Może byś się z nami wybrała, Phoebe?

Narzuciwszy na gołe ramiona szal z prawie przezroczystego szyfonu, Magda Miller popatrzyła na przyjaciela ze zdziwieniem.

- Co mówiłeś, Paul? Ach, tak. Oczywiście, możesz nam towarzyszyć, kochanie. - Obrzuciła córkę krytycznym spojrzeniem. - Ale musiałybyś koniecznie się przebrać. Zawsze twierdziłam, że kiedy kobieta zaczyna ubierać się w legginsy, to już po niej.

- Postaram się o tym pamiętać - obiecała Phoebe ze śmiertelną powagą i rozprostowawszy złożone po turecku nogi, podniosła się z kanapy.

Doskonale wiedziała, że delikatna ironia zawarta w jej słowach pozostała nie zauważona. Matka nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że ktoś może żartować na temat ubioru. Jako projektantka od dawna żyła w przekonaniu o niezwykłym znaczeniu mody w życiu człowieka.

- Możemy przecież poczekać - wtrącił Paul. Phoebe musiała przyznać, że w przeciwieństwie do jej poprzednich towarzyszy, ostatni narzeczony matki nawet dawał się lubić. Był spokojnym, życzliwym człowiekiem, który potrafił zapewnić bliskim poczucie bezpieczeństwa. Gdyby tylko Magda potrafiła docenić jego zalety...

- Paul uważa, że za dużo czasu spędzasz w samotności. Oczywiście, wytłumaczyłam mu, że nie jesteś już małą dziewczynką, którą trzeba bezustannie zabawiać.

Na samo wspomnienie rozrywek, jakie Magda starała się zapewnić córkom w dzieciństwie, Phoebe nie była w stanie powstrzymać się od uśmiechu. Ilekroć przyjeżdżały z wizytą, matka zawsze ubierała je w identyczne ubranka, a potem pilnowała, by się nie ubrudziły.

- Poza tym, wyobraź sobie, że jego zdaniem za mało jesz. Ja próbuję mu tłumaczyć, że kobieta nigdy nie jest za chuda...

- Jako lekarz nie do końca mogę się z tobą zgodzić. Anoreksja stanowi dziś naprawdę poważny problem. A Paul akurat ma rację, bo sama zauważyłam, że zaczynają mi sterczeć kości.

- Bzdura! Zawsze byłam zdania, że przynajmniej twarz masz odrobinę zbyt pulchną. Teraz przynajmniej wyglądasz jak człowiek.

- Magdo! Jak możesz?

- Powiedziałaś coś nie tak? - Gwałtowna reakcja towarzysza tak bardzo zbiła ją z tropu, że Phoebe wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Nie przejmujcie się mną. Nie przepadam za ceremoniami wręczania nagród. Naprawdę z przyjemnością posiedzę w domu.

- To niech John przynajmniej poda ci kolację.

W przypadku Magdy uwielbienie piękna nie ograniczało się do przedmiotów. Zamiast gosposi zatrudniała dwudziestosiedmioletniego początkującego aktora, który nie tylko wyglądał jak Adonis, lecz także doskonale sprzątał, prał i gotował. Jednym słowem wyręczał chlebodawczynię we wszystkim.

- Nie ma sensu zawracać mu głowy. Zrobiło się przecież dość późno.

- Chyba żartujesz. Ten chłopak wręcz uwielbia gotować, a przy tym bardzo uważa na kalorie...

Phoebe pomyślała, że powinna być wdzięczna losowi, iż jako dziecko nie mieszkała z matką, bo pewnie umarłaby z głodu.

- Aha. Byłabym zapomniała. Postawiłam ci przy łóżku pudełko z rzeczami twojej siostry. Specjalnie wczoraj poprosiłam Johna, żeby je zniósł ze strychu. Już nawet nie

pamiętam, skąd się tam wzięło. Chyba Connor je przysłał po tym okropnym wypadku.

- Zaglądałaś do środka?

- Skąd. Przecież wiesz, że tak łatwo ulegam wzruszeniom - odparła matka, przeglądając się w lustrze. - Już wiem! Od początku coś mi nie pasowało. Muszę koniecznie zmienić klipsy! - Wybiegła z pokoju w podskokach.

- One nie... - Paul popatrzył na Phoebe z zażenowaniem.

- Nie przejmuj się. Już dawno przestałam liczyć na matczyne uczucia z jej strony.

- Ale chyba wiesz, że Magda kocha cię na swój sposób.

- Oczywiście. I jeśli chcesz wiedzieć, nie zamieniłabym jej na nikogo innego. Dzięki tacie, miałyśmy z Penny naprawdę szczęśliwe dzieciństwo. A mama była taką niezwykłą osobą na specjalne okazje. Tyle że nie zawsze mogłyśmy na niej polegać. Prawdę mówiąc, najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobiła w życiu, było przyznanie się do tego, że nie nadaje się na prawdziwą matkę. Zdecydowała się nas urodzić tylko ze względu na tatę.

- Nigdy mi o tym nie wspominała.

- A gdy w końcu odeszła z domu, zarówno rodzina, jak i znajomi nie zostawili na niej suchej nitki. Ale przynajmniej, moim zdaniem, wszystkim nam to wyszło na dobre.

Spojrząwszy na Paula, Phoebe nie bez satysfakcji stwierdziła, że całkiem bezwiednie poddała mu temat do pogłębionej tym razem refleksji. Jeśli postara się lepiej poznać Magdę, może zdoła zapewnić jej szczęście.

Phoebe udała się do sypialni z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony bardzo chciała obejrzeć zawartość zostawionego przez matkę pudełka, ale z drugiej obawiała się, że widok rzeczy siostry może przywołać najsmutniejsze wspomnienia.

W końcu jednak ciekawość wzięła górę. Zerwawszy samoprzylepną taśmę przytrzymującą wieczko, zajrzała do

środka. Powoli, jedna po drugiej, układała pamiątki na kołdrze. Ręcznie malowaną, jedwabną chustkę, którą sama podarowała kiedyś siostrze na urodziny, gruby zielnik, nad którym Penny pracowała od siódmego roku życia, stary pamiętnik zapisany niezgrabnym jeszcze, dziecięcym pismem.

Ale dopiero na widok pluszowego misia z jednym uchem zalała się łzami. Nie kto inny, jak właśnie ona okaleczyła nieszczęsnego niedźwiadka po tym, jak siostra ogoliła na łyso jej ukochaną lalkę.

O mały włos przeoczyłaby leżącą na dnie pudełka kopertę. Zaadresowana była właśnie do niej, a przyklepiony w rogu znaczek świadczył o tym, że Penny po prostu nie zdążyła jej wrzucić do skrzynki.

Rozerwała kopertę i zagłębiła się w lekturze.

Najdroższa siostrzyczko!

To najtrudniejszy list, jaki przyszło mi dotąd napisać. Jeszcze nie zdecydowałam, czy wyślę go pocztą, czy też poczekam do soboty i przekażę ci go osobiście. Sama nie wiem, od czego zacząć.

Dopiero w połowie pierwszej strony Phoebe zdała sobie sprawę ze znaczenia tego, co czyta. Ale zanim dojrzała do końca, wszystkie kartki były mokre od łez.

Czy to możliwe, że Penny udzieliła błogosławieństwa jej szczęściu? Jeszcze raz przeczytała cały list od początku.

- Źle się czujesz?

Odwróciła głowę i zobaczyła, że John zagląda przez drzwi z zaniepokojoną miną.

- Wprost przeciwnie! - Roześmiała się przez łzy. - Od dawna nie czułam się tak dobrze - zapewniła, powtarzając w myślach kolejne zdania listu.

Oboje z Connorem jesteście stworzeni dla siebie. Zawsze o tym wiedziałam. Nie zastanawiałam się przypadkiem, dlaczego tak się spieszyłam ze ślubem? Zaciągnęłam go do

ołtarza, zanim zdążył oprzytomnieć, bo bałam się, że w końcu powiesz mi, że go kochasz. Myślisz, że nie zauważyłam bólu, jaki sprawiał ci nasz widok? Wszystko widziałam i dlatego uważam, że jestem najpodlejszą siostrą na świecie (pod pewnymi względami jestem bardzo podobna do matki!).

Ale Con nigdy nie przestał o tobie myśleć. Próbowałam mu cię zastąpić. On też starał się być dobrym mężem, bo to naprawdę przyzwoity człowiek. Dlatego proszę cię, żebyś go teraz przyjęła. Pragnę, żebyście już zawsze byli razem, bo dopóki wy nie będziecie szczęśliwi, mnie nie przestanie męczyć sumienie. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć.

John wciąż przyglądał się Phoebe z niepokojem.

- Skoro mówisz, że nic ci nie jest... A może przygotować ci coś do jedzenia?

- Jesteś bardzo miły - po raz pierwszy od dawna Phoebe poczuła głód - ale sądząc po stroju, zamierzałaś właśnie pobiegać. - Inaczej nie paradowałaby chyba w krótkich spodenkach i sportowej koszulce na ramiączkach? - Robi się późno.

- Nigdy nie kładę się wcześniej spać. Próbowałaś kiedyś jajecznicę z wędzonym łososiem?

- Nie. - Phoebe oblizała się ze smakiem.

- Zobaczysz, będzie ci smakować.

Nie minął kwadrans, a wniósł do sypialni obficie zastawioną tacę. Rzeczywiście był świetnym kucharzem.

- Pyszna - powiedział - Phoebe, przełykając ostatni kęs. - Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Przekażesz Magdzie wiadomość ode mnie?

- Wybierasz się dokądś jeszcze dzisiaj? - John nie posiadał się ze zdziwienia.

- Do domu - odparta z rozpromienioną twarzą. Teraz, kiedy wiedziała już, jak ma postąpić, nie chciała ani na chwilę odwlekać wyjazdu.

Przy drzwiach wejściowych niespodziewanie rozległ się dzwonek domofonu.

- Zaczekaj tu na mnie. Sprawdzę, kto to. Wrócił po kilku sekundach.

- Mówi, że nazywa się Connor Carlyle.

Phoebe zerwała się na równe nogi i jak oszalała zaczęła biegać po pokoju.

- Connor? Tutaj? - Z trudem łapała oddech. Przyłożywszy dłonie do rozpalonych policzków, postanowiła, że już zawsze będzie wierzyć w istnienie telepatii.

- Czy to znaczy, że mam go wpuścić? Tylko powiedz mi najpierw, czy to wróg, czy przyjaciel, bo nie mam pojęcia, co powiedzieć na powitanie.

- Przyjaciel. Oczywiście, że przyjaciel! - zawołała, podskakując radośnie. - Jak wyglądam?

- Powinnaś chyba przemyć twarz zimną wodą - poradził John z miną eksperta.

Najchętniej poradziłby jej jeszcze, by nie okazywała przybyszowi aż tak żywiołowej radości, ale uznał w końcu, że równie dobrze mógłby walić grochem o ścianę.

- Zimną wodą... Masz rację! - rzekła Phoebe i pognęła do kuchni.

Stojąc na ulicy pod drzwiami, Connor zastanawiał się, do kogo mógł należeć młody, męski głos, który usłyszał w głośniku domofonu. A kiedy drzwi otworzył mu wspaniale zbudowany młodzieniec, przyodziany jedynie w bokserki i cienką koszulkę, natychmiast zapałał do niego niechęcią.

- Przyszedł pan zobaczyć się z Phoebe, prawda? - John chyba przestraszył się wrogiej miny przybysza. - Jestem służącym Magdy - wyjaśnił pośpiesznie. - Panna Miller czeka na pana w kuchni. To te drzwi w końcu korytarza. Przepraszam, ale właśnie wybierałem się pobiegać. - Przemknął obok gościa i wybiegł na zewnątrz.

Wciąż z lekka utykając, Connor udał się we wskazanym kierunku. Energicznym ruchem położył dłoń na klamce i otworzył drzwi.

- Connor!

- A myślałaś, że kto? Tamten piękny chłoptaś? Minęło kilka sekund, zanim Phoebe zorientowała się, o kogo mu chodzi.

- Masz na myśli Johna? - roześmiała się. - On nie musi korzystać z domofonu, bo ma własne klucze.

- Bardzo mądrze.

- Jest aktorem. - Wciąż nie mogła zrozumieć dziwnego zachowania Connora.

- A nie służącym? - Popatrzył na nią tak, jakby ją złapał na kłamstwie.

- Jest i jednym, i drugim - wyjaśniła. W końcu dotarło do niej, że Connor jest po prostu zazdrosny. - Ale co cię tutaj sprowadza? - zapytała, zagryzając wargi.

Najchętniej zarzuciłaby mu teraz ręce na szyję i poprosiła, by od razu zabrał ją stąd do domu. Ale kiedy zobaczyła go w drzwiach, poczuła się tak, jakby właśnie poraził ją piorun. Miała wrażenie, że nogi wrosły jej w podłogę.

- Akurat wtedy przejeżdżałem...

Zatrwożyła go zmiana, jaka zaszła w Phoebe od ostatniego spotkania. Dlaczego tak strasznie zmizerniała? Przeklął się w duchu za to, że pozwolił jej zamieszkać u matki. Powinien wiedzieć, że ta samolubna baba nie zauważy nawet, że z jej córką dzieje się coś niedobrego.

- Nie musisz być aż tak sarkastyczny - zauważyła, kuląc się w sobie pod wpływem jego badawczego wzroku.

- No to przejdźmy od razu do rzeczy. - Connor odgarnął włosy z czoła. - Wiem, że obiecałem dać ci czas do namysłu. Ale zmieniłem zdanie - powiedział głosem nie znoszącym

sprzeciwu. - Poza tym wcale nie mówiłem, ile zostawiam ci czasu. Zrozum...

Ileż rozpaczy kryło się w jego na pozór hardym głosie?

- Ja też zmieniłam zdanie.

Zmierzył ją groźnym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Tak? A na jaki temat?

- Tak w ogóle...

- Mogłabyś wyrażać się jaśniej? - Otarł dłonią kropelki potu, które wystąpiły mu na skronie.

- Przepraszam. - Oczy Phoebe błyszczały jeszcze silniej niż zwykle.

Postąpił krok w jej kierunku, lecz niemal natychmiast znieruchomiał. A jeżeli tym razem Phoebe znowu go odrzuci?

- Kocham cię, Con - wyznała łamiącym się głosem.

- Wiem. - Nie pozwoli się dłużej zwodzić. Przecież to od niej usłyszał, że miłość to jeszcze nie wszystko.

- Mógłbyś się zamknąć i wysłuchać mnie do końca? - Jak ma mu wyjaśnić, że gotowa jest iść za nim na koniec świata, skoro Connor w ogóle nie dopuszcza jej do głosu. - Bardzo za tobą tęskniłam.

- To był twój własny wybór.

- Będziesz mnie słuchał, czy nie?

- Prawdę mówiąc, trochę się denerwuję, bo twoja ostatnia przemowa sprowadzała się do tego, że nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Uważam, że nadszedł czas, żebyś przestała chować się za plecami Penny ze strachu przed własnym szczęściem.

Nie chcąc przerywać tak wspaniałej tyrady, Phoebe tylko niezobowiązująco pokiwała głową.

- Dobrze wiesz, że możemy mieć przed sobą cudowną przyszłość. Mogę się założyć, że Penny wcale nie ucieszyłaby się, widząc, że w imię jakiejś pokrętnej siostrzanej lojalności wystawiasz nas oboje na tak ciężką próbę. Przeciwnie, powiedziałyby...

- Żebyśmy cieszyli się życiem - wtrąciła z nieukrywaną satysfakcją. Tym razem naprawdę zdołała go zaskoczyć. - Już wiem, że właśnie tego by sobie życzyła.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, co mówisz?

- Oczywiście. Twierdzę, że Penny chciałaby, żebyśmy byli razem - oznajmiła, patrząc mu prosto w oczy.

Connor wykonał długi skok przez kuchnię, pochwycił Phoebe w ramiona, podniósł do góry i zaczął uważnie studiować jej twarz.

- Najdroższa! - zawołał triumfującym głosem i zaborczo ją pocałował.

Całowali się długo, namiętnie, do utraty tchu.

- Myślałam, że ta chwila nigdy nie nastąpi - szepnęła, kiedy oboje nieco już ochłonęli. Niewiele brakowało przecież, żeby odmówiła sobie raz na zawsze prawa do szczęścia.

Connor dumnie wysunął podbródek.

- Ale w końcu zdołałem cię jakoś przekonać.

- Nie przypisujesz sobie przypadkiem zbyt wielu zasług? - zażartowała. - Można by pomyśleć, że zaczynasz się chełpić.

- Być może, ale nawet nie wyobrażasz sobie, na jakie naraziłaś mnie męki - powiedział ze śmiechem. - Wiesz, co czułem, kiedy raz byłaś zimna jak lód, to znów pałałaś miłością? Ale wiedziałem, że nie mogę cię utracić. Życie bez ciebie nie ma dla mnie sensu. Wino smakuje jak woda, piękne przedmioty wydają się zwykłą tandetą, i w ogóle wszystko staje się pozbawione znaczenia. Rozumiesz, co mam na myśli? Bez ciebie jestem jakby połową człowieka.

Phoebe słuchała słów ukochanego mężczyzny jak najpiękniejszej muzyki.

- Nigdy nie podejrzewałam cię o tak wielki talent krasomówczy - stwierdziła ze śmiechem. - Ale skoro już go zdradziłeś, to chyba zdajesz sobie sprawę, że w przyszłości nie zadowolą mnie żadne zdawkowe komplementy.

- Mogłabyś wreszcie przestać gadać? - parsknął, unosząc ją w powietrze.

- Uff! - Phoebe odetchnęła z ulgą. - Znów jesteś normalny i takiego właśnie cię kocham.

Kilkakrotnie ucałowała go w policzek, po czym, umościwszy się wygodnie w jego ramionach, pozwoliła zanieść się jak dziecko do sypialni.

- Skąd wiedziałeś, dokąd iść? - zapytała, kiedy położył się obok niej na łóżku.

- Tylko z twojego pokoju mógł dobywać się tak piękny zapach - odparł, przywierając do niej całym ciałem.

Phoebe roześmiała się.

- Nie mogę jeszcze uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Nie? W takim razie zaraz cię przekonam...

I zgodnie ze złożoną obietnicą, przekonywał ją wielokrotnie do białego rana.

W oczekiwaniu na oficjalne rozpoczęcie weselnego przyjęcia, Connor sączył w hotelowym holu szampana, podczas gdy Phoebe ograniczyła się jedynie do szklaneczki soku pomarańczowego. Rozmach, z jakim przygotowano ślubną ceremonię, nie pozostawiał wątpliwości, że weselne stoły uginać się będą pod ciężarem wykwintnych potraw.

- Do kogo się tak uśmiechasz?

Phoebe rzeczywiście promieniała. Serce rozpierała jej radość i duma, bo przecież miała dziś u boku zdecydowanie najprzystojniejszego mężczyznę na całym weselu.

- Po prostu jestem szczęśliwa - przyznała szczerze, co sprawiło, że Connor natychmiast ją objął i przytulił.

- Uważaj! - zaprotestowała, - Wiesz, ile musiałam się namęczyć, żeby przypiąć do włosów ten kapelusz?

Roześmiał się.

- Nie żałujesz, że nasz ślub nie był równie huczny?

- zapytał po chwili, podziwiając olśniewające kreacje pań, przepyszne dekoracje ze świeżych kwiatów zdobiące eleganckie wnętrza oraz kwartet smyczkowy, który dyskretnie umilał gościom chwile oczekiwania.

- Nie. Choć to faktycznie wspaniałe wesele. - Sally była jedynaczką i jej rodzice najwyraźniej uznali, że wydanie córki za mąż wymaga niezwyklej oprawy. - Ale nasze o wiele bardziej mi się podobało - zapewniła męża, wracając myślami do skromnej ceremonii w miejscowym kościele i lunchu, w czasie którego żona Willa zabłysła niezwyklej kulinarnym talentem.

Connor miał wtedy na sobie ten sam włoski grafitowy garnitur co dzisiaj. Phoebe włożyła kremową, jedwabną suknię, którą dostała w prezencie od matki. Przesyłka nadeszła na kilka dni przed dniem ślubu razem z przeprosinami, że Magda nie będzie mogła uczestniczyć w uroczystości z powodu wyjazdu do Paryża na niezwyklej wręcz wagi pokaz nowych kolekcji.

- Nie było ci smutno, kiedy Magda nie przyjechała na nasz ślub? - Z punktu widzenia Connora zachowanie teściowej było co najmniej niezrozumiałe, ale powstrzymał się od komentarza, by nie sprawić żonie przykrości.

- Właściwie nie. Najważniejsze jest to, że pojawili się wszyscy, na których naprawdę nam zależało. A poza tym przecież to tobie, a nie jej, składałam przysięgę.

- Przytuliła się do męża. - Bardzo mi się tutaj podoba, ale osobiście wolę kameralne uroczystości. Po prostu lubię intymność.

- Zdążyłem to zauważyć. - Roześmiał się, widząc jak twarz Phoebe oblewa się delikatnym rumieńcem. - Zatańczymy?

- Przecież na razie nikt jeszcze nie tańczy.

- No to będziemy pierwsi. - Connor ujął żonę pod rękę i poprowadził w kierunku parkietu.

Jednak zanim zdążyli wykonać chociaż jeden obrót, podbiegła do nich wyraźnie zdenerwowana, ubrana w zieloną suknię niezbyt już młoda kobieta.

- Doktorze Carlyle, jakie to szczęście, że pana znalazłam. Chodzi o Angusa. Tak dziwnie się zachowuje.

- To znaczy jak?

- Zaczął się rozbierać! - Kobieta załamała ręce. - Tak jak poprzednio. Podejrzewam, że w tym całym zamieszaniu przez pomyłkę wziął podwójną dawkę insuliny. W każdym razie, teraz sprawia wrażenie, jakby się upił.

- Rzeczywiście, wygląda to na przypadek hipoglikemii. Przepraszam, kochanie - Connor zwrócił się do żony. - Obowiązek wzywa. - Cmoknął ją w czubek nosa. - Ale nie przejmuj się. Ostatnim razem Agnus zdjął jedynie krawat i szelki.

Phoebe popatrzyła w ślad za małżonkiem oddalającym się spokojnym, pewnym krokiem. Ciekawe, zastanowiła się, czy byłby równie opanowany, gdyby powiedziała mu, że właśnie zaczyna rodzić. Już rano zaczęła odczuwać pojedyncze skurcze, ale dopiero w kościele, kiedy Sally i Martin wymienili obrączki, bóle nasiliły się na tyle, że nabrała pewności, iż właśnie nadszedł jej wielki dzień.

Nie powiedziała jednak o niczym mężowi, bo Con natychmiast odwiózłby ją na oddział, a tymczasem Phoebe chciała skrócić pobyt w szpitalu do minimum. W ogóle najchętniej urodziłaby w domu, w swojej własnej sypialni, ale Connor nawet nie chciał o tym słyszeć. Szczególnie kiedy dowiedzieli się, że nie jeden, ale dwóch małych Carlyle'ów ma się niebawem pojawić na świecie.

Phoebe podejrzewała, że do końca życia nie zapomni miny Connora, kiedy zdał sobie sprawę, że na ekranie

ultrasonografu widzi bliźnięta. Jakaż rozpierała go wtedy duma! Uśmiechnęła się sama do siebie i delikatnie pogładziła dłonią po brzuchu. Już niedługo będzie mogła przytulić tych dwóch maleńkich urwisów, przez których wygląda teraz jak nadmuchany balon. Poczowała kolejny skurcz i po raz pierwszy zaniepokoiła się, czy nie nadszedł już czas, by pojechać do szpitala.

Przecisnęła się pomiędzy gośćmi i odszukała wzrokiem męża. Widok jego wysokiej, mocnej sylwetki sprawił, że wszelki lęk, jaki przed chwilą czuła, ulotnił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Coś się stało?

Phoebe wzięła Connora za rękę.

- Skąd. Tylko muszę ci o czymś powiedzieć - wyszeptała ze wzruszeniem. - Ale chyba lepiej będzie, jeżeli najpierw usiądziesz.